

AURELJA WYLEŻYŃSKA

CZARODZIEJSKIE MIASTO

POWIEŚĆ
z przedmową Roch Grey'a

SKŁAD GŁÓWNY
DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ
WARSZAWA.

AURELJA WYLEŻYŃSKA

CZARODZIEJSKIE MIASTO

POWIEŚĆ

z przedmową Roch Grey'a

SKŁAD GŁÓWNY
DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ
WARSZAWA.



ILUSTRACJE A. SIKORSKIEJ.

67818

Druk. „LECH”, Koszykowa 33, tel. 403-66.

K-219/74/74169

TEJŻE AUTORKI:

Ryszard Berwiński — studjum 1914 r.

U złotych wrót — powieść 1921 r.

Marja Leszczyńska na dworze Wersalskim — 1922 r.

*Niespodzianki — powieść nagrodzona na konkursie
Gabrieli Zapolskiej — 1923 r.*

Księga udręki — powieść 1926 r.

Jeunes poètes polonais — 1926 r.

Biała czarodziejka — 1927 r.

PRZEKŁADY:

Dymitr Mereżkowski: Narodziny Bogów — 1926 r.

*Władysław Mickiewicz: Pamiętniki (ze Stanisławem
P. Koczorowskim) — 1926 r.*

W D R U K U:

L'émigration polonaise en France.

La Pologne pendant la guerre.

W PRZYGOTOWANIU:

Serce podzielone na ćwierci — powieść.



FOT. S. LONDYŃSKI. PARYŻ.

Tym, którzy ze mną przeżyli lub
przeżyją Paryż.

Aurelj - Wyliczyńska

*Jestem szczerze wdzięczna patronom
„Czarodziejskiego Miasta”, a nadewszyst-
kiem temu, który tak mile zainteresował
się tą książką.*

*Jestem zachwycona czarodziejskim da-
rem wnikiwości Roch Grey'a, który odkrył
w mojej książce uroki i wartości mnie samej
nieznane.*

INTRODUCTION.

Ecrivain français d'origine polonaise, pris dans l'engrenage de la tourmente intellectuelle et surtout morale qui sévit en Europe dans le monde des lettres et des arts et qui fortê matériellement barre le passage à tout ce qui menace par l'invention et l'inédit les sinécures gardées jalousement — las enfin de ne voir que la petitesse d'intérêts défendus avec rage — domination temporaire mais néfaste — j'écoutais sans enthousiasme madame Wylezyska me lire d'une voix un peu essouflée son dernier ouvrage.

Moi qui considère ce qu'on appelle „roman” comme une formule surannée qui n'attend que la confirmation officielle de mes goûts pour céder la place à une autre formation, j'ai abandonné l'attitude presque agressive, désarmé par cette foi pleine d'ardeur et cette merveilleuse confiance incorruptible que l'écrivain prouvait en me lisant son livre.

„Czarodziejskie miasto”, le roman d'un coeur en détresse, où la dame cède à l'influence magique de Paris considéré dans son éternité symbolique — histoire de toutes les humanités fixées là dans chaque pierre, en dépit de modes, passions, méchancetés.

De son petit logis de la rue d'Assas, là où rarement le bruit des voitures brise la paix de son

âme candide, qu'aucune déception ne pourrait jamais flétrir, madame Wylezynska admire les beaux arbres de cette avenue de l'Observatoire où donnent ses fenêtres, écoute le gazouillement des oiseaux, les cris des enfants qui jouent dans le sable—vit en dehors de la gehenne mondiale qui infeste, prépondérante, la sainte ville de Paris — elle n'y voit que la gaieté et l'exubérance, l'éclat merveilleux de ses lumières — torches de processions du culte de la joie — elle ne sait rien de ce que doit ignorer un être plein d'illusions et cela revêt Paris d'une grâce toute particulière.

Femme bien élevée et pure — des bars, dans cinq, maisons mal famées, elle ne voit que le pittoresque amusant, un peu enervant peut-être, mais si drôle qu'elle en sort intacte — déjà prise par l'admiration de la vénérable cathédrale de Notre-Dame, toute incrustée des soupirs des poètes, comme une chasuble d'un archevêque — apanage scintillant dans la nuit des temps de ses pierres précieuses offertes par des rois.

Doucement cette vie transforme la douleur d'un amour perdu en une capacité de regarder, d'apprécier, de consommer une partie magique de l'univers renfermée dans Paris, Femme — avec une admirable ingenuité, elle s'arrête devant les vitrines des fabuleux antiquaires de la ville, et disperse ses peines entre les fleurettes d'une tasse très ancienne et les courbes élégantes d'une cuvette aussi bleue que le plus lointain espoir —

le grandiose de l'infiniment petit en accumulation — pyramides de marchandises aussi hautes que celles des Pharaons — masses d'objets merveilleux entassés là par des siècles — inaccessibles —

qu'elle se contente de regarder sans céder aux faiblesses de la convoitise.

Le cœur se calme, apparemment — voici que Marie se redresse, et l'on sait qu'ayant bu à la fontaine de cet oubli temporaire mais instructif et émouvant — elle saura être plus forte à la rencontre prévue et admise de celui qu'elle aime —

sage, gentille, elle saura repêcher son âme, et en grignotant des bonbons, la reposera dans ce même amour compris raisonnablement — ou peut-être dans un autre que sans apprêt elle verra venir.

Madame Wylezynska ne savait pas en écrivant ces pages qu'elle agissait et bonne citoyenne de la terre, qu'en ce moment de difficultés extrêmes, de conflits intersexuels — inadmissibles il y a quelques années, et qui créent des soucis angoissants au sein des familles — l'homosexualité déjà indéracinable, touchant tous les milieux — effets imprévus en menace sur la formation même des générations futures, parthénogenèse introduite par un chimiste de génie, physicien épris de la terre — ou peut-être encore quelques passes d'un tragi-comique appareil forçant les hommes à concevoir...

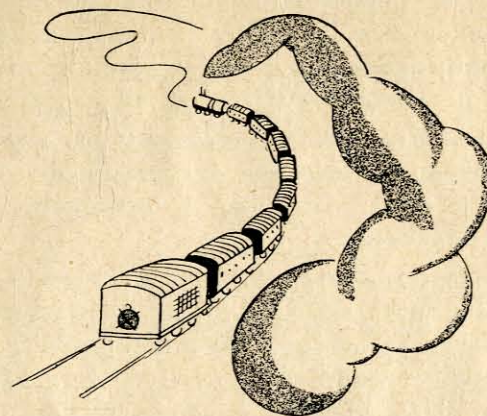
Avant la conclusion de tous ces grands malaises de l'humanité, le roman sain, le roman-bible étant devenu de plus en plus rare — à entendre la gracieuse madame Wylezynska, à voir son héroïne verser des „larmes amères“, religieusement, sur son amour pour un ingénieur — on se reconforte, on se croit à cette heureuse époque où les hommes beaux et forts n'avaient d'autres pêchés à avouer au moment de leur mariage, que trousser une belle fille sur le rebord d'un puits ou dans un champ de luzerne.

Frais, jeune „Czarodziejskie miasto” est l'extrait d'un passé bien pur et bien légitime. Contrairement aux prétentions d'autrefois qui défendaient aux enfants les romans d'amour — très recommandé, ce livre de chevet pour de jeunes gens, peut-être déjà touchés, peut-être repentants au seuil de la Gomorrhe.

Les temps ont changés — et celui qui parle avec cette subtilité d'analyse suggestive et ensorcelante d'un amour ordonné par la nature, confirmé par la durée de la race humaine basée sur sa présence — peut être considéré comme gardien dévoué et honnête du foyer familial, dressé là émuvant comme un autel vénéré.

Roch Grey.

Paris, le 26 Janvier 1928.



Dopiero na dworcu w Paryżu Marja pomyślała jak to śmiesznie uciec z Warszawy. Tutaj szukać zapomnienia. Dlatego, że taki zwyczaj, że tylu ludzi przed nią to czyniło? Jak gdyby właśnie to miasto mogło dać zapomnienie?

Przez całą drogę nie zastanawiała się nad tem. Zdawało się jej, że nic nie widzi i nie czuje. Tylko w oczach ma ten wstrętny zielony kolor bluzy niemieckiego tragarza.

Spokojnie podała szoferowi adres pensjonatu, wybrała pokój i zaczęła żyć, jak w ostatnich czasach w Warszawie. Obracać te same myśli, gubić się w tych samych dociekaniach.

Dopiero po tygodniu odważyła się wyjść na ulicę. Nie wyszłaby, bo po co? Ale trzeba było odebrać pieniądze z banku. Kazała się wieźć gdzieś bardzo daleko. Patrzyła sztywnie przed siebie i nic nie widziała.

Po kilku dniach uczuła ból głowy, potrzebę ruchu. Wyszła się przejść. Poszła drogą, którą na-

znaczyła na planie. Obojętnie patrząc na znane z reprodukcji widoki, jakby je już tysiąc razy widziała, jakby żadnej przyjemności, ani niespodzianki od nich nie czekała. Wszystko tak jest, jak miało być. Tu Luwr, tam Notre-Dame ledwie widoczna w chłodnej mgle. Sekwana, taka jak o niej zawsze mówiono — szara. Brzydka. I ton ogólny szary, martwy, bezduszny.

Niema powodu spacerować po mieście, bo nic nowego jej nie da. Otuliła się w płaszcz, gdyż w tej mgle naprawdę było chłodno i wróciła ze swej pierwszej wędrowki po Paryżu z radością, że wraca do siebie, do swoich czterech ścian, wygodnego hotelu i czekających na nią myśli.

A potem drugi i trzeci tydzień tych samych dociekań, tych samych wątpliwości.

Wyjechała, raczej uciekła. Od niego, nie od swoich uczuć. Od tego człowieka, który jej nigdy nie kochał. O jej miłości, o wielkości jej uczuć może nawet nie wiedział. Była dla niego zabawką. Zresztą, może nawet niczem nie była...

Więc co z tego? Zapomnieć? To śmieszne złudzenie. Nie zapomni. I nie trzeba. Kultywować dalej swoje uczucie, żyć dalej w kontemplacji cierpienia, w zatraceniu siebie, w świadomości, że skoro jej nie kocha, to i ona siebie kochać nie może, nic nie jest warta, nic nikomu ani sobie dać nie potrafi, na nic nikomu, ani sobie nie potrzebna.

Paryż wydawał się jej prawie nierealny. Tam, za grubymi firankami, co wiszą na oknach niema nic. Pustka, której nie zapełniała swymi pragnieniami.

Nawet będąc na ulicy nakazywała oczom swym tysiące umartwień. Żeby się jej nic nie podobało. Jakby się bała, że miasto wyrwać ją może z bólu,

zabrać coś ze świeżości smutku. Jakby się bała zdrady samej siebie...

Nigdy nie weszła do Luksemburskiego ogrodu, lecz zawsze szła obok, nie zaglądając za przejrzyste sztachety, gdzie przez całą zimę jest wiosennie. Mijała obojętnie najpiękniejsze gmachy, jakby ich nie było, tylko na tem miejscu stały zwykłe kamienice.

Bała się ludzi. W tłumie jeszcze więcej czuła swą samotność. Taka pustka w tem olbrzymim mieście! A zarazem tłum zabierał ją, jej samej, jej bólowi.

Raziły ją wszystkie objawy życia i radości, śmiech każdy dzwonił w uszach fałszywie, głośnie rozmowa targała nerwy.

Teatry, książki, obrazy? Nie — to są rzeczy obce, straszne. Nic o jej uczuciu nie mówiące. Czy można pozwolić by coś wrogiego wchodziło pod dach duszy? Jak najbardziej unikać wrażeń, jak najmniej wychodzić z dobrowolnego więzienia. Może i dlatego, że wracać do domu tak okropnie smutno... Nienawistnie patrzyła na każde oświetlone okno. Na nią nikt nie czeka. Jej — zawsze ciemne.

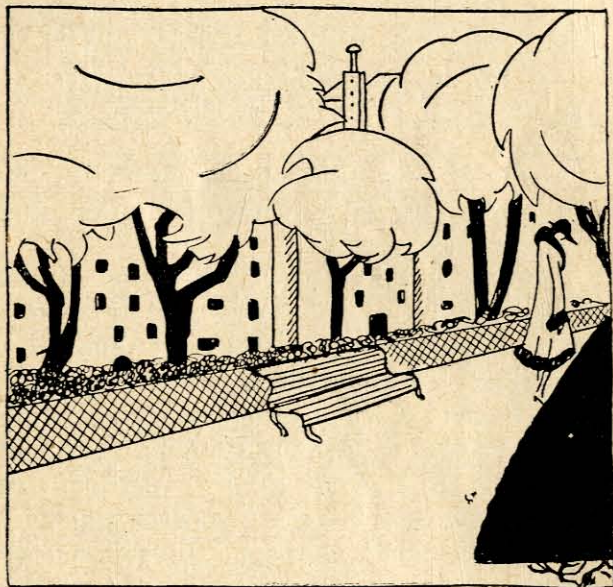
A czasem miała nadzieję... Powiedzą... Skąd, jakim sposobem? Nigdy się nad tem nie zastanawiała.

Serce jest głupie, głupie — wierzy nawet temu czego samo pragnie.

Cierpiała ciągle. Jednego dnia mniej, drugiego więcej. Nie, gdy się cierpi, cierpi się zawsze jednako. To tylko wrażenie, że kiedyś więcej a kiedyś mniej. Wczoraj — wydaje się trudnem do poje-

cia. Jak można to było znieść? Skądże siły do zniesienia takiego bólu? Nigdy nie cierpiała, tak jak wczoraj...

A kiedyindziej, gdy chwili obecnej nie przeciwstawić nie mogła, ani odrobiny oporu w sobie nie znajdowała, zdawało się jej, że przecież nigdy nie cierpiała, jak dziś...



W Warszawie nie czuła, że przestrzeń dzieląca — tak boli.

Teraz widziała wszystko jasno, wyraźnie, mocno. Wzrok jej przenikliwie obejmował przeszłość — nagle, w jasnym słońcu skąpaną. Oczy bolać patrzeć, niby nad morzem, gdy niebo, piasek i powietrze, wszystko roztopione w białym świetle. Biedne oczy, które same przed sobą prawdę ukrywały... które

przed nią wciąż się zamykały... Ale to światło kłuje, drażni, do otwarcia, szerokiego otwarcia zmusza.

Nigdy tak żywo niedawne chwile bólu przed nią nie stawały, jak w tym pokoiku paryskim.

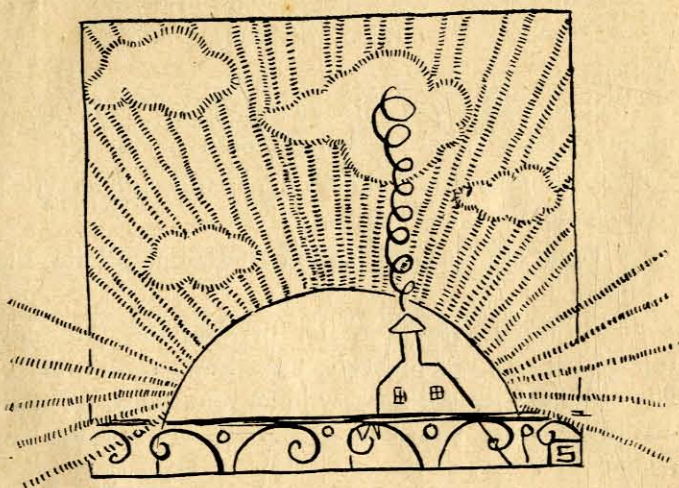
Oslabiający ból rzeczy niespełnionych wypełniał ją po brzegi.

Tęsknota, której żadna nadzieja ukoić nie zdoła...

Miłością była, zda się, przepelniona do najtajniejszych, najgłębszych zakątków swej duszy. Nie oddalała się ani na chwilę zapomnienia, od tego co przez lata całe było gorzkim szczęściem jej życia.

Trzeba jednak zewnętrznie opanować swe nerwy. Żeby zabezpieczyć się na wypadek zetknięcia się z ludźmi. Co za wysiłek! Czasem w jadalni, na ulicy, w skrócie myśli przechodzi się jakąś okropną godzinę, a tu wypada się uśmiechać, za coś podziękować, o coś prosić.

Na powierzchni życia nieomal śladów cierpienia nie było. I nie chciała, by ślady były. Ale jak pobożni, w skrytości serca, przed obraz swego Boga codzienne zanoszą modlitwy, tak ona codziennie, przed ołtarzem swej miłości paliła kadzidło i oblewała stopy jego gorzkiemi, och, jak gorzkiemi łzami!



W dwa miesiące po przyjeździe do Paryża, pewnego dnia zbudziła się z dziwnym uczuciem. Jakby to nie ona wczorajsza, która położyła się spać zmęczona myślami i późno usnęła — twardym snem po długiej bezsenności.

Nie cierpieć! Nie chce cierpieć! Nie będzie cierpieć! Silne, pewne siebie postanowienie. Nie może dłużej... Cierpienie bogaci duszę, tak, gdy nic innego karmić jej nie potrafi. Wszystko w życiu ma swój czas, swoje miejsce, a wtedy i swój sens. Dziś jej cierpienie — zabójcze, bezpłodne. Ohydny balast. Wycierpiała całą moc swego cierpienia. Dziś jej ono obce, obojętne, nieomal — literackie.

Chce żyć. Bez miłości, bez złudzeń, żadnych pragnień. Chce zabić swoją mękę, którą dotąd tak starannie ochraniała. Zabije. I smutna — blada jeszcze świadomość, że można wypełnić życie czem innym — niż tem nieszczęśliwym uczuciem.

Pierwszy raz z ciekawością wyjrzała przez okno. Dziwne słońce i dziwne niebo. Tylko Paryż zna tajemnicę takiego słońca i takiego nieba. Niebo przez dymy patrzące, szare, jakieś spopielałe, a na niem słońce, mały purpurowy krążek, tak purpurowy, że światło jego padając na białą kartę leżącą na biurku, barwi ją jak o zachodzie.

Marja uśmiechnęła się ze zdziwieniem i miłą radością, że ją coś zajmuje.

Odtąd patrzyła już na wszystkie słońca.

Nazajutrz wczesnie wyszła z domu. I nie dlatego, że miała jakiś interes, tylko poprostu dlatego, że chciała zobaczyć Paryż. Idąc spacerowym krokiem przez Quai d'Orsay, z pewnem zainteresowaniem zaglądała w okna, badając tajemnice kryjące się za koronkowemi firankami, z których każdy kwadracik, jak każda tafelka na gdańskim piecu, był inny. Uśmiechała się na widok poważnych concierge'ów, czytających gazety w bramie pałaców i chwilę zatrzymała się przed domem, w którym w czasie Dyrektorjatu, pani de Staël miała swój salon. Nie żeby specjalnie lubiła tę damę, jej zawój, i jej Korynnę, ale to tak jakoś dziwnie, że właśnie tu...

Nie doszła jednak do Izby Deputowanych, trochę bała się wrażenia, jakie Plac Zgody — najpiękniejszy plac na świecie — uczynić może, ale za to swobodnie przyglądała się potworowi Luwru i Notre-Dame, która, w ten smutny dzień, gdy niebo, w bliskim już mroku, było prawie czarne, wyglądała biała, niemal bielą medjolańskiej katedry. Porównywała ją do jakiejś innej, przelotnie, przy-

padkiem widzianej, białej i czarnej: cała biała, w załomach, w zakątkach czarna.

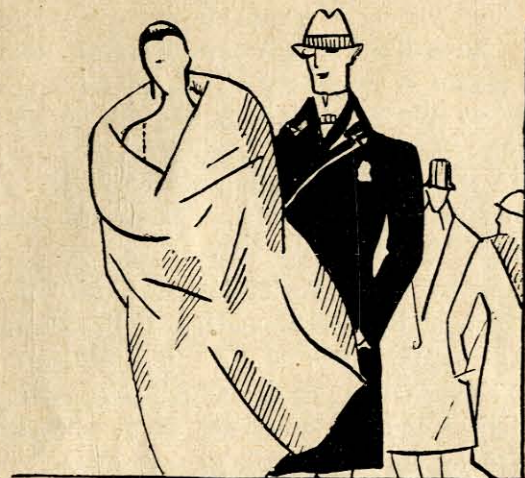
Nagle pomyślała, jakby to dobrze było mieć pod ręką Wiktora Hugo i starego pijaka, Villona, aby przeżyć w sobie średniowieczny Paryż...

Wróciła zmęczona, po raz pierwszy zdrowem zmęczeniem ciała — nie duszy. Na dziś stanowczo dość było wrażeń. Ale na drugi dzień zaczęła się zastanawiać od czegoby zacząć zwiedzanie Paryża? Przypomniała sobie, że dawniej myślała wiele o piękności Wenus Milońskiej. Czy to nie przesąd, nie złudzenie wieków, że jej dano berło piękności? Ludzie uwierzyli, z tą wiarą nowi rodzą się i wychowują, jak z wiarą w Boga; rzadki, bluźnierca, przeczy temu. Chciała popatrzeć na nią własnymi oczyma — bez przesądów piękna.

Nawet nie wiedziała, jak się to stało, że znalazła się w Luwrze.

Patrzyła na nią, a potem na inne rzeźby. Oczy przesycone harmonją, w każdej znajdowały braki. Ten szczegół i tamten, prawda, nie ustępują Wenus, ale całość, ale to coś, co jest nią i co ona jedynie może posiadać, tego nie może posiadać żadna inna. Tak. Teofil Gautier miał rację. Jakby bez rąk była pomyślana.

I słusznie oddano jej berło piękności.



Zwykle schodziła na obiad w tej sukni, którą nosiła cały dzień. Siadała przy swoim stoliku i nie zwracała na nikogo uwagi. Nawet na tego przystojnego amerykańnika, który w salonie kilka razy przynosił jej pisma do przeglądania. Dziękowała i udawała, że przegląda.

Tego wieczoru, nie wiedziała dlaczego, zechciało się jej ładnie ubrać... Chwilę nawet zastanawiała się jaką suknię włożyć. Przyczem uśmiechnęła się złośliwie na myśl, że kobieta uciekająca od swego uczucia, nie zapomni wziąć wszystkiego, co jej do stroju potrzebne. Prawda, że to Marynia pakowała. Ale, kto wie, czy i ona sama?...

Włożyła czarną, jedwabną suknię i zeszła na dół. Pierwszy raz oczy jej nagle spotkały się z oczyma amerykańnika. Słyszała, — dotąd nigdy nie słuchała i nic nie słyszała, — jak mówił do kogoś, bardzo głośno:

— Jadę jutro. Wracam do siebie.

Nie zdziwiła się, gdy po obiedzie podszedł do niej:

— Czy nie zechciałaby pani pójść ze mną do teatru?

Było to po amerykańsku, ale cóż? Dotąd nie miała ochoty widzieć ludzi, doznawać wrażeń... Teraz chce. Nic nie szkodzi...

Późno było, kazał więc jechać bardzo prędko, ledwie można było rozmawiać. Folies Bergères. Byli w malutkiej łoży, we dwoje, bardzo siebie blisko. Uśmiechali się — zamieniali parę zdań, niby rozmawiali. Ręce ich spotykały się bez wyraźnego powodu, oczy chętnie, z każdej wędrówki, wracały do siebie.

Sprowadził ją ze schodów z poufałością pełną szacunku. Korzystał ze sposobności, których Paryż tyle daje, by przycisnąć ramię — chroniąc przed niebezpieczeństwem ulicy, wsadzając do auta.

— Dokąd jedziemy na kolację? Może do Cafe Américain?

— Do domu.

Zdziwił się nieprzyjemnie.

— Jakto do domu?

— Ja jadę do domu. A pan gdzie chce.

Wychyliła się i powiedziała szoferowi adres pensjonatu.

— To i ja do domu — rzekł skruszony.

Usunął się w róg, zajął mało miejsca — o ile to tylko możliwe było przy jego wzroście i szerokich ramionach.

— Wie pani, że jutro jadę?

— Tak, wiem.

— Więc?

— To też właśnie...

Ważył krótkie słowa odpowiedzi i z trudnością starał się wyłuskać z nich sens właściwy.

Stanęli przed domem.

— W pani kraju całuje się kobiety w rękę?

— Tak.

— Można?

— Proszę.

— Czy popełniłem coś... shocking?

— O, bynajmniej. Dobranoc panu i szczęśliwej drogi.

Zasypiając myślała, że szukać trzeba wrażeń, któreby przytłumiły, oszołomiły tamte. U osób nowych, dalekich od jej spraw i dotychczasowego życia. Interesujących, jak figury książkowe.

Niech przychodzą najrozmaitsze wrażenia. Podda się każdej fali: nauki, piękna, uśmiechu, rozmowy. A może nawet przyszłe jej folies będą inne?

Miała już rzeczy, które lubiła, inne — których nienawidziła. Przez czas dłuższy nienawidziła — metra. Bała się go. Raz wsiadła — śpiesząc się gdzieś bardzo i wysiadła na następnej stacji. Metro, cudo techniki, a wydało się jej, że to jakiś nieznanym demon ruchu nim rządzi. Z ciemności wypada pociąg i wpada znów w ciemność. Po drodze mija fantomy innych pociągów. Niewidzialny ruch tajemniczej ręki zamyka drzwi, głos wzywający do odjazdu jest niesamowity, niby chorobliwe skrzeczenie, a każdy dźwięk nie rozplywa się w przestrzeni, tylko dusi pod kopułą tunelu. A gdzieś tam, nad głowami, chodzą ludzie w świetle dnia, chodzą ludzie niemiłosiernie depcząc innych.

Sam zapach powietrza, który buchał z podziemia budził lękliwe wspomnienie tamtego dnia. Trzeba było czasu, żeby się znów odważyć. I bardzo się ucieszyła świadomością, że nerwy jej zupełnie teraz inaczej reagują. Śmiała się. Więc cały strach był w niej, w uczuciach, jakie wówczas miała, niezależnie od tej piekielnej maszyny? To przecież rzecz niezwykła jeździć — pod ziemią!

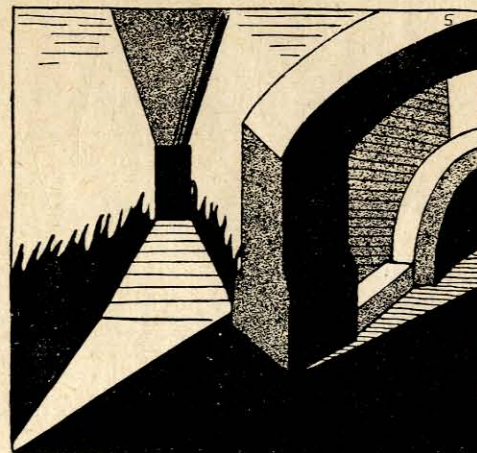
Już same afisze, ciągle ich zmiana, to takie zabawne! Nigdy się nie widzi, kto jedne usuwa, a drugie na ich miejsce kładzie. Chaos ogłoszeń, skrót gorączkowego życia, gwałtowne tętno szybko biegnącego dnia...

Białą damę zastępuje prima-vera, pochylają się, nigdy nie spadają, stosy mydeł, ktoś rzuca flaszki, a one wcale się nie tłuką, ogień wciąż się pali, a nic nie gotuje, choć od niego w całym metrze żarem bucha, żrebak, ogłaszający najlepszą czekoladę leci, jakby był pegazem, pomimo że zastępują mu drogę rozlatane makarony i szarytka wiecznie podająca aspirynę, nudna jak współczucie...

Bawiła Marję publiczność. Ludzie z krańca na kraniec miasta przejeżdżając, zachowują się tak, jakby ich nikt nie znał, i oni nikogo znać nie mogli. Kiedyś, stanęła między księdzem, który znalazł wolną chwilę do odmówienia brewiarza i całującą się parką. Zobaczyła jednak, że nie spełniła żadnego miłosiernego uczynku. Parce nic i nikt nie mógłby przeszkodzić w całowaniu, a ksiądz niczem się nie gorszył.

Polubiła metro. Najbardziej demokratyczny, a zarazem najwięcej niespodzianek w sobie kryjący sposób komunikacji. Właśnie dlatego, że nic się nie widzi, nie wie się gdzie jest i gdzie się jedzie.

Nie wiadomo nawet jaką pogodę zastanie się tam, gdzie się wysiadzie... I przekonała się, że metro jest tylko pozornym wrogiem cudów Paryża. Przeciwnie raczej. Przenosi z jednej dzielnicy do drugiej, niby z jednego miasta do drugiego. Naprzykład z cichego Saint-Michel, gdzie mieszkała, na jakiś ruchliwy, modny bulwar, koło Łuku Triumfalnego. Wszystko jest inaczej! Kwiatem dzielnicy łacińskiej jest mimoza, — tu za oknami kwitną pyszne hortensje i rozpustne storczyki. W antykwarniach miejsce zabytków francuskiej sztuki zajmuje Wschód. Można wybrać sobie gabinet z laki czerwonej i kupić oryginalnego Sakyamuni, który do niedawna uśmiechał się tajemniczym uśmiechem w mrokach świątyni. Ludzie nie przewracają tu książek, stojąc na deszczu, lecz wchodzą do księgarni, niby do salonu i usiadłszy w wygodnych fotelach pieszczą stare oprawy.



Nikt łez wylanych nie wróci — tylko wartość ich w inną zamienić się może.

Zrozumiała, że w tem wszystkim trzeba poszukać samej siebie, którą kiedyś tak kochała. I wrócić jej naczelne miejsce w życiu. Czy dlatego, że jest jednemu mężczyźnie obojętną, jest mniej warta, mniej ponętną, mniej własnej miłości godną?

Walczyć o siebie, o swą duszę, która w tem wszystkim gdzieś się zgubiła, zatraciła. Stała się taka mała, tak o nic nie dbająca, tak posłuszna rozkazom miłości. Uwolnić ją od zależności czekania. Nadziei. I tych rzeczy, które może nie przyjdą wcale. Niema nic bardziej destrukcyjnego — jak czekanie. Nic bardziej — upakarzającego.

Czuła znużenie wobec wiecznej ofiary, wiecznego dawania z siebie, beznadziejności, wysiłku gorejącego serca. Dość gorejących serc! Odwaga, siła, bezwzględność — te odnoszą zwycięstwo. Odwaga, siła, bezwzględność — choćby do wycofania się. Napoleon powiedział, że jedynym zwycięstwem w miłości jest — ucieczka.

Szczęście — to właśnie nie czekanie na nic — bo to co jest — jest dobre.

Nagły wybuch kokieterji! Nie szukać nowej miłości, nie, wyzwolenie leży w tem — żeby nikogo nie kochać. Ale pozwolić sobie być piękną, jak dawniej i budzić uczucia — jak dawniej. Nie odgraczać się od innych — bólem. Przecież — uśmiechnęła się — w ostatnich czasach w Warszawie z oburzeniem, a może i ze wstrętem odwracała się od mężczyzn, którzy ją kochali, wielbili, pragnęli — zdawało się jej, że samem tolerowaniem — hańbi świętość swego uczucia.

Teraz tego chce... Podnieść swą wiarę w siebie i swą urodę — pewnością nowych zdobyczy. Dać się kochać — to mieć atuty w rękę. Nie płoszyć żadnego zachwyty — najbardziej przelotnego. Zbierać hołdy na każdym kroku. Brać daninę miłości wszędzie, zacisnąć usta i brać. Z poważną, skupioną radością.

Bez męki szarpaniny, bez rozważań — na jak długo?

Może zniknie wtedy ból, który leży na dnie każdego czynu, na dnie rozmów głębokich i przelotnej zalotności, na dnie każdego uśmiechu, każdej myśli...

Najpierw zdobyć sobie świadomość, że się jest pożądaną.

A potem jeśli nerwy będą na takie pożądanie wrażliwe... Jeśli to stanie się koniecznością uczucia, lub zmysłów...

Katarzyna Sieneńska mówiła: Trzeba najpierw chcieć pić.

— Więc jakże, pójdzie pani?

— No, ostatecznie... A jakże się tam trzeba ubrać?

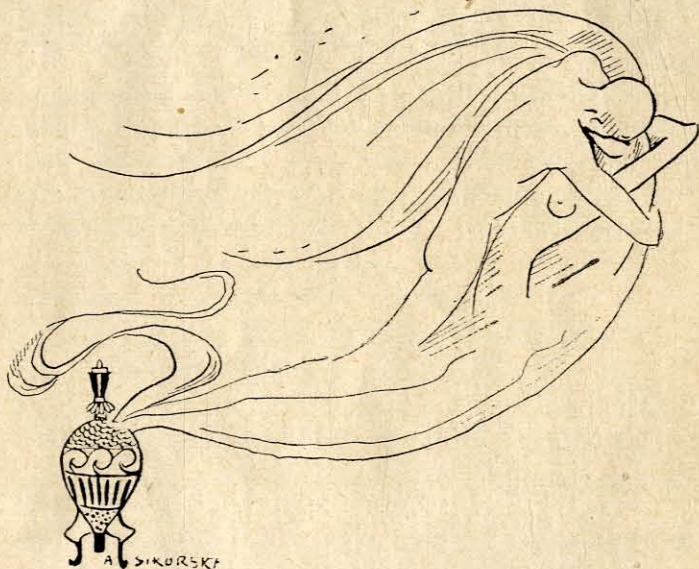
— O, jak kto chce. Najlepiej jakoś barwnie...

— Kiedy ja...

— Tak, pani tego nie lubi. Więc proszę wziąć tę czarną, będzie dobrze.

Światło płynie z góry, rozlane łagodnie. Oświetla najpierw obrazy, a potem nasycą całą pracownię. Wzdłuż ścian, wielkie otomany, okryte wzorzystą materją, pełną poduszek różnych kształtów: koła, kwadraty, trójkąty. Na te różnokolorowe stopy

spinają się czarne aksamitne gąsienice, pełzają po nich mieniające się węże, w przytulne zakamarki wślizgnęły się śmieszne pajace, o szklanych oczach, a na szczycie wygodnie usadowiły się lalki. Lalki zgoła inne niż dawniej bywały. Nikt nie lubi przedwojennej kobiety, któżby lubił przedwojenną lalkę? W rogach sali półotwarte namioty, pufy, niskie stołeczki, dywany, kwiaty, całe pęki, nieomal całe krzaki mimoz. Kobiety siedzą, nóżki podwinawszy pod siebie, wpół leżą, leżą. Jaskrawe suknie, na ciemnem tle fantastyczne kokardy, kokieterja cielistych pończoszek.



Niby wielkie koty, rozmarzone, ocieężałe, wolno przeciągają się, zmieniają pozy. Ruchy miękkie, pieściwe. Coś w nich z tęsknoty gotowości. Każda jak dama haremowa, czeka, żeby jej ktoś rzucił

chusteczkę, żeby fontanna w kącie tryskała ambrawą. Tylko się dziwić, że mężczyźni nie szukają rąk podatnych do pieszczoty, odrzuconych leniwie na jedwabiu poduszek — nie pochylają się nad łóżkami, pragnąciami oparcia, nie całują ust, nawet w tem sztucznem świetle, zbyt ponsowych.

Dym wschodnich kadzideł owija obłokiem, dzieli jednych od drugich, zapach kwiatów tumani i rozgrzesza.

Urywki rozmów:

— Wiesz, co najlepiej lubię? Ten mrok liljowy koło wieży Eiffel i Trocadéro, gdy jadę do niego.

— Moja droga, ostrożnie, zdradzisz się. Gotowam ci powiedzieć jakim jeździsz autobusem...

— I co jest zabawnie miłe.... Czasem myślę, że jeśli autobus nie zakręci w tę ulicę, właśnie w tę, o której myślę, to coś się stanie i nie dojadę. I cieszę się! Jakoś tak dobrze pomyśleć, że nie zdradzę męża.

— Na ten raz naturalnie...

— Teraz kobieta tak jest ubrana, że jej nawet rozbierać nie trzeba.

— A czy to nie lepiej? No powiedz?

— Zapewne. A może tylko wygodniej...

Ktoś się śmiał:

— Gdy się jest bardzo młodą, to uważa się, że obie płci są równe. Walczy się o to, uparcie. W miarę lat widzi się tę, jeśli nie nierówność,



to inność. Może zresztą to jest wdziękiem życia? Dlatego milej, bezpośredniej można rozmawiać z kobietą. To tak, jakby się mówiło z dawną znajomą — wie się co powie. Ale bardziej interesującą jest rozmowa z nieznana, obcą osobą, która zawsze powie coś niespodziewanego — z mężczyzną.

— Wie pani kiedy jest ładnie? Gdy przy rozstaniu można się pocałować tak słodko, delikatnie, jakby to był pierwszy pocałunek.

— Przy rozstaniu? Jakim? Na zawsze, czy na końcu każdego... seansu?

— Na końcu... seansu. Lepiej przy rozstaniu na zawsze — to jeszcze ładniej. Ale to zdaje mi się niemożliwe.

— A ten „słodki”, „delikatny” pocałunek, to co? Rozgrzeszenie?

— Nie. Co rozgrzeszać? Tylko z jego strony akt wdzięczności — a z jej... łaskawe przyjęcie tego aktu wdzięczności.

Jakiś wysoki, przystojny mężczyzna oburzał się:

— To najgorsze, że kobieta nie oddaje się dla samej chęci oddania się. Tylko zawsze ma jakiś powód: ten jest nieszczęśliwy, ten bardzo dobry, a to przyjaciel jej męża, więc prawie się nie liczy...

— Jest jeszcze jeden powód. Bardzo ważny.

— Jaki?

— Żeby zapomnieć o kochanym mężczyźnie...

— O tem nie wiedziałem... I to co pomaga?

— Nie wiem... Ja tak... tylko teoretycznie...

— Naturalnie, naturalnie... Ale jak pani myśli?

— Tak... Nie... To znaczy... Ja myślę, że intensywność wrażenia łatwiej pozwala... odtworzyć przeżyte uczucia których tak, może już... odtworzyć nie można.

— Proszę pani, to nawet na Paryż — za silne.

Marja siedziała w kąciu i obojętnie słuchała przypadkiem słyszanych słów. Dopiero ostatnia rozmowa zdziwiła ją. Więc aż tego potrzeba? To straszne!

Ktoś się do niej zbliża. Na kanapie jest właśnie wolne miejsce.

— Można? Obserwuję panią cały wieczór. Pani jest ciekawa kobieta.

Uśmiecha się uprzejmie i pije jeden kieliszek za drugim. Porto jest wyborne, mocne, zdradliwe. Świat jest nagle piękny, wszyscy ludzie doskonałe do niego dostosowani. Mężczyzna, który koło niej siedzi ma zmysłowe usta.

— Pani ma cudne włosy. Ten refleks starej miedzi...

Mówi ciągle. Marja nie wie dobrze co. Głos jest pieściwy i pieści. Nie słucha — ale myśli: coby było, jakby było? W końcach palców niby nagle zapalone iskierki, w głowie lekki szum. Cała, czuje to dobrze, cała, owiewa ognisty płomień pożądania. Uśmiecha się i podnosi głowę. Oczy ich się zetknęły, zahaczyły, zczepiły, zwarły.

— Pocałuj mnie...

Jakby ktoś nagle żaru na policzki nasypał, a do serca lodu przyłożył. Iskierki zgasły, wiatr pożądania odleciał.

— Pocałuj, pocałuj...

I strach! A jeśli pocałuje?...

Podnosi się, słania, opiera o ścianę. Troskliwa znajoma bierze za rękę i wolno wyprowadza z pracowni.

— Przepraszam panią. Po co namawiałam? Pani się nie bawi, pani cierpi... Jeszcze zawczasie...



Czarodziejskie miasto.

Miasto cudów i niespodzianek.

Teraz już wiedziała....

Czar działał coraz silniej, coraz silniej. Czarodziejskie miasto zrobiło swoje..... Dobroczynne miasto co dnia coś z jej bólu zabierało, kazało o smutkach zapomnieć, a wzamian dawało swoje rozkosze.

Powoli, podstępnie brało ją w niewolę. Jakby wbrew jej wiedzy i chęci. A potem, gdy to zobaczyła, nie broniła się, lecz łagodnie niewoli poddawała.

Najpierw zdawało się jej, że jest niem podchmielona, teraz że upita. Upoić się miastem, jak można upoić się winem, szczęściem, miłością!... I już z tego stanu błogości nic jej nie wyprowadzi.

Nieraz wrażenie zupełnie realne — butelkę szampana ma w głowie! Ach, jak dobrze, jak lekko się myśli! Jak perłą się myśli, jakie pochwały głoszą swemu dobroczyńcy!

Jedyne miasto w świecie! Żadne, jak Paryż, nie podnieca wrażliwości, nie wyostreza zmysłów, nie wysubtelnia ludzi, nie zapładnia ducha! Oczy same się kształcą, słuch sam się doskonali....

Encyklopedia genjuszu ludzkiego! Mózg świata i centrum świata. Wszystkie wieki i wszystkie epoki wydają się tu być bliskie, osiągalne! Wszystkie dzieła sztuki żywe, cała mądrość ludzkości dostępna.

Miasto przeszłości i przyszłości... Muzea zamknęły dzieje całej kultury, biblioteki pełne dzieł, które jutro wyda, w powietrzu wirują idee, które jutro okrzyknie, w jakiejś kawiarni rodzą się nowi artyści.

Światło zalewa głowy i ulice. Mądrość promieniuje bezpłatnie. Szczęście śmieje się do wszystkich, czas jest tak drogi, a każda chwila zbyt szybko leci...

Typy, narody, stroje — spacerują niby na wielkim balu kostjumowym. W pokojach hotelowych palą się latarnie japońskie, wiszą polskie kilimy i ktoś śpiewa Steńkę Razina.

Miasto gościnne i pobłażliwe.

Wdzięk i równowaga, ogrody strzyżone, kłasyzm Komedji Francuskiej i harmonja lamar-tinowskiej poezji...

Jakim cudem znosi inwazję cudzoziemców,
krzyk ich barbarzyńskich dusz, jaskrawość ich
sztuki, dziwaczność obyczaju? Stroi się niemi, niby
jednym więcej blaskiem swej korony.

Miasto ciągłych niespodzianek, kontrastów,
sprzeczności.

Stolica wszelkich możliwości.

Królestwo postępu i zacofania.

Gdzie nawet głupota przyjść może do głosu.

Gdzie każda kobieta może być piękną.

Gdzie każde pragnienie będzie wysłuchane.

Gdzie każdemu wszystko wolno...

Gdzie wszystkie narody wyznają sobie miłość
w języku francuskim.

Gdzie nic nie jest śmieszne...

Gdzie nic nie jest święte...

Gdzie sztuka jest sprzedajna i słowo do
kupienia.

Miasto najbardziej niemoralne i najbardziej
bezpieczne.

Petite Chaumière obok cnotą obronnych do-
mów rodzinnych.

Miasto starej kultury i dziecinnej naiwności.

Które wszystko zajmuje, cieszy, entuzjazmuje.

Zbudowało setki teatrów, a biegnie na foire'y
jak za czasów linoskoczków, wagabondów i saltim-
banków.

Artystów całego świata ma na usługi, a słucha
śpiewaka ulicznego.

Gdzie concierge więcej wie o swym kraju, niż
u nas literat, a literat nic o nas nie jest obowiązany
wiedzieć.

Kult czystego rozumu obok trzystu sekt reli-
gijnych.

Miasto smakoszków, epikurejczyków, sybary-
tów — miasto pracy wytrwałej, mądrej i umiejętnej.

Pracuje jak tytan, a bawi się jak dziecko.

Prezydent całuje królową karnawału, a robot-
nik świąt nie uznaje.

Miasto, które nie zna sezonów: kwitną w niem
jednocześnie wszystkie bajki kwiatowe, owoce całego
świata mu dojrzewają.

I w każdej porze życia zjawić się może każde
uczucie.

Miała w sobie zapal młodych, bardzo mło-
dych lat, którego nawet gorycz co osiadła gdzieś
w kąciку serca, zabić nie była zdolna.

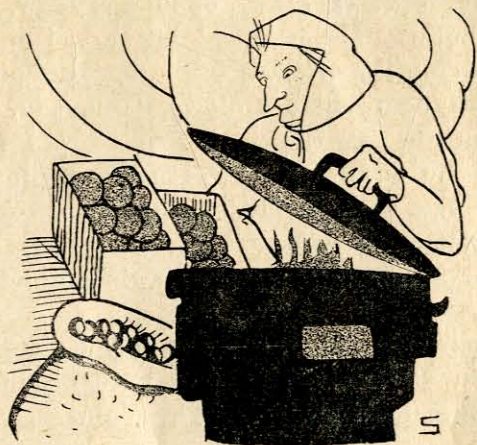
Człowiek wewnętrzny, dzieje duszy zmęczyły ją.
Chciała obserwować rzeczy zewnętrzne, ruch, barwy,
kształty.

Wybrała się raz do kościoła Św. Magdaleny —
i z galerji przyglądała się wielkiej mszy; nabożeństwo
w swem przepychu miało coś z renesansowych
uroczystości.

Czerwone szaty układają się w dostojne linje,
lśnią hafty złotych ornatów, gesty są hieratyczne,
poważne, ukłony niby baletowe, a pełne godności.

Na kazalnicy mówca w fioletach głosi słowo
boże. Pieści ucho wymową — bawi oczy żywością
mimiki — świetny aktor. Inny ruch, inne spojrzenie,
gdy biegnie nieśmiało ku siedzącym w półkołu dygni-
tarzom, a inne, władne, mocne, gdy rozkazuje
wiernym.

Marja zdziwiła się, że nikt nie bije brawa.



Zaczęła się przyglądać ludziom: w pensjonacie, na ulicy, w tramwaju. Z początku nie patrzyła na nich. Tacy, jak u nas. Tylko jeszcze więcej obcy. A potem ta obcość zaczęła ją bawić, ta inność — zajmować.

Zachwycało ją wzajemne zaufanie, chęć wzajemnego przyjścia sobie z pomocą.

Łatwość życia: z ludźmi nieprzedstawionymi tak się dobrze rozmawia, jakby się ich od lat znało.

Wdzięk życia. Dwór wersalski dawno nie istnieje, a coś z niego pozostało w każdym francuzie.

— Można przejść przez ulicę?

— Za cenę uśmiechu.

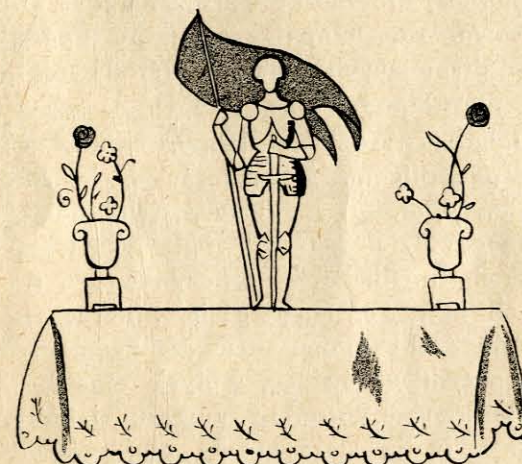
— Cena zbyt mała. Chętnie dam dwa.

Wymieniona uprzejmość między elegancką damą a zasmolonym robotnikiem, który bruk układa...

I te śmieszne typy! W tem potwornem napozór wszystko niwelującym mieście takie bogactwo typów! Jakby to miasto ich nie przygniatało, nie chciało

podsumować pod jedną linję, tylko przeciwnie każdemu pozwoliło żyć, jak chce, ubierać jak mu się podoba.

Lubiła obserwować stare baby. Z wąsami, brodami, grube babsztyle, zawsze w ciepłych papuciach — i suche, złośliwe, niesamowite, które wierzyć każą w sabaty czarownic.



Żal jej bardzo było tych biedaczek, trzęsących się z wieku nie z zimna, takie „petites vieilles” z poezyj Baudelaire’a.

Patrzyła w głąb magazynów ze staremi materjałami. Jak na obrazku holenderskim. Kobieta, pochylona nad barwną tkaniną w wieku maszyn ciupie powoli igłą,

Cieszyła się, że znalazła serwis, na którym cały stary Paryż był wymalowany. Nawet weszła do sklepu i z powagą osoby kupującej, poprosiła o dokumenty stwierdzające, że należał on rzeczywiście do księcia Berry.

Szła uliczką Garancière i szukała śladów wydeptanych przez policjanta, który strzegł biblioteki d'Esparvieu. Gdy to „Zbuntowany anioł” użył tych bogactw, by z ich pomocą odrodzić świat. Śmiała się do dziwnej głowy w wieńcu nieznanых kwiatów i owoców — kres wędrówki obrońcy zagrożonego ładu — i szła dalej, w stronę kościoła Saint-Sulpice, który przecież był niegdyś świątynią zwycięstwa, do pompatycznych biskupów-kaznodziejów, drzemiących spokojnie wśród lwów i zawsze martwego wodotrysku.

Oglądała te dziwne sklepy, napoły zakrystje, napoły panopticum. Postacie świętych, całe wiece świętych, w barokowym ekstatycznym ruchu, wiecznie sztandar dzierżąca Dziewica Orleańska, figury wszystkich, od biskupów poczynając, a na ministrantach kończąc, służ kościoła, narzędzia kultu, olbrzymie złote monstrancje, relikwiarze, książki do nabożeństwa, świece, połysk emalii, materje kościelne, ręczne koronki i sztuczne klejnoty...

Cieszyły ją stare nazwy ulic, Gît le Coeur, Chat-qui pêche, jakiś Pot-au-Feu, gdzie mieszkał bohater świeżo przeczytanej książki Duhamel'a. Zamierające napisy na sklepach, długie, bardzo długie i obietnic pełne.

Stare wąskie uliczki, gdzieś koło Panteonu, pełne dawnych klasztorów, ciche, obumarłe, niby w Bruges. Jak tam, bezszelestnie przesunie się postać w czarnym habicie i zginie w jakiejś niespodzianej wnęce domu. Czasam, wystrzela, gdzieś schowany wśród domów stary kościół i nad linją dachów rozpina łuk gotyckich okien.

Ulice biegnące od Saint-Germain do Sekwany to była nieustająca radość oczu. Jakby wielki sklep

starożytności, dla wygody podzielony na małe sklepiki. Wszystko tam znaleźć można. A nawet nic nie szukać, tylko stanąć przed szklaną szybą. A potem, żeby zmęczone oczy odpoczęły, zajrzeć w głąb podwórzy, nieomal włoskich. Po ścianach wije się wieczny bluszcz, w rzeźby ubrane fontanny, amorki, maszkary.

Albo łązić po quais, które więcej dają wrażeń, niż bib joteki i muzea. Bo są żywą biblioteką i żywym muzeum. Wielokilometrową ruchliwą bibliotekę, pełną fantazji i niespodzianek, muzeum nieskatalogowanych nigdzie skarbów.



Między czwartą a szóstą, gdy największy ruch, szła do wielkich magazynów, Louvre'u, Galeries Lafayette. Opierała się o balustradę ostatniego piętra i patrzyła wdół, na tą gmatwaninę barw. Czuła piękno kubistycznego obrazu, w którym niema żadnego sensu, ani żadnej myśli, tylko grają kolory obok siebie przypadkiem położone. Jak w tęczy. Ale i tęcza jest za logiczna, za harmonijna, za banalna.

A potem, wraz z tysiącem innych kobiet, przewracała stosy koronek, falbanek, ukosów, wstążeczek, tego wszystkiego co krawcowa warszawska nazywa „dodatkami“, a tępi, nieznający się na rzeczy mężczyźni „merezką“. „Ta twoja merezka jest śliczna...“ „Kupiłeś sobie nową merezkę...“ Najmniej, naturalnie, mówi się tak o istotnej mierzce, która dla męskiego wzroku jest zbyt subtelną rzeczą...

Ale warszawska krawcowa zgubiłaby się w tej niezmiernej, nieprzebranej ilości i różnitości, w tych barwach, gatunkach, cenach. Tylko Marja, prawda, przypłaciwszy bólem głowy kilka pierwszych wypraw, bezkarnie pozwalała rozkoszować się swym oczom i swym rękami.

Nie rozpaczała nigdy, jak jej miłe rodaczki, że „wszystkiego kupić nie można“. Nie miała o to żalu ani do losu, ani do Paryża.

Pocieszała się, że wielki kłopot byłby z wybraniem stu kapeluszy do twarzy, gdyby sto kupić mogła — skoro jeden tyle trudności sprawia.

Życiaby nie stało — włożyć wszystką bieliznę, która podoba się i jest śliczna.

Chodziłaby obwieszona klejnotami, jako Salome Gustawa Moreau, gdyby wolno czerpać bezkarnie z witryn jubilerskich.

Zupełnie wystarczało jej to co sobie kupić mogła. Ale gdy kupiła nie pozwoliła odsyłać, zabierała ze sobą. Byłoby zbyt długo czekać do jutra... Krajała suknie — tylko dla siebie i szyła bieliznę z jedwabiu i batystu. Batyst był cienki i przejrzysty, jak te materje, o których spostrzegawczy św. Hieronim mówi, że nic przyjemnego przed oczyma nie ukryją.

Strasznie polubiła koty. I nie mogło być inaczej, skoro polubiła Paryż.

Czytała Baudelaire'a, wyszukała u France'a pochwały wszystkich Hamilkarów, a gdy wchodziła do kogo ze znajomych, pytała czy nie mają jakiego kota Niny Aleksandrowicz.

Biegała pod Saint-Severin patrzeć na zbiegowisko nadsekwanskich kotów, w tej dzielnicy specjalnie wojowniczych, skradała się cicho do okien wystawowych. Może przypadkiem będzie tam spać jaki prince somnolent? Biały, wielki, rozmarzony, albo czarny, niesamowicie czarny, który, raczej niż odpoczywać, lubi w nocy zabiegać drogę albo tygrys, naprawdę mały tygrys.

Bardzo była ciekawa oczu kotów. Klejnoty z najdalszych, najdziwniejszych krajów, te o których marzył Wilde, które gromadził Dorian Grey, tak, zupełnie lśniące kamyki ktoś powprawiał w szerokie powieki. Najciekawsze były żółte i zielone. Zielone — wszystkie barwy szmaragdowego wybrzeża. Przezroczyste, jasne, mocne, takie, jak gdyby w morzu słońce się pławi, mleczne — gdy nad niem biały obłok zawisnie, ciemne, intensywne, z odcieniem stalowym — gdy chmura ponurość mu swą oddaje. A żółte — to jakby różne rodzaje bursztynu, które przecież na miodzie się wzorowały. Cytrynowo-blade — miód lipcowy, złoto — roztopione patoka, i ciemny stuletni wytrawny miód z odcieniem czerwonym. Złe oczy.

W nocy koty śpiące, przyczajone w jakim kącie — kłębki, o które lubiła się potykać. Biały — kula stężałego śniegu — tylko bawić się nią i rzucać. Czarny kot błysnie groźnie oczyma, podniesie w górę grzbiet, nastroszy ogon. Staje w hieratycznej, staromodnej pozie, szablonowej pozie kota z Montmartru lat 90. Tygrys zmyka w wielkich susach, a żółty udając chytrego lisa tajemniczą drogą dąży do nory, a gdy mu się śniła wiewiórka, puszystym ogonem filuternie bije powietrze. Taki zaś

szary-bury potulny jest i przytulny, niby nasz Maciuś, owinie się około nóg i prosi o pogłaskanie.

Miała kweciarke, starą, nieznosną babę, najdroższą kweciarke w całej dzielnicy. U której jednak zawsze kupowała, bo nikt, jak ona nie umiał w swym koszu ułożyć kwiatów... Przytem mówiła jakoś bardzo miło: „Ma petite dame“ i gdy tylko zdaleka zobaczyła Maję obwieszczała jakieś nowe kwiaty.

Raz kupiła róże. La belle France — przyszedł z Nicei. Świeże, pełne jeszcze słońca. Zawinęła je w bibułkę i niosła zazdrośnie, żeby nikt nie spojrział. Rozwinęła u siebie i włożyła do najukochańszego klosza.

Prędko oswoiły się z atmosferą, ciepłem, dobrym jej domem. Stały się miłe, blizkie, pachnące. Zaczęły dla niej tylko, palić się purpurą. Brała je kolejno do ręki, pieściła i całowała cichutko.

— Moje kochane róże.

Róże były czerwone, bardzo ciemno ponsowe, z aksamitnym rąbkiem niby spieczony wargi, co długo, długo całowały.

Kwiaty to cud — który można zamknąć dla siebie w pokoju.



Malutkie, milutkie mieszkanko.

Postanowiła wynieść się z pensjonatu. Uciec od nudy i niewygody życia z przypadkowo spotkanymi ludźmi, od patrzenia na obce twarze i uśmiechania się do nich bez potrzeby, ni chęci. Poszukać sobie domu. Mieć nie mieszkanie, które w każdej chwili opuścić można, ale kąty dla swego pożytku i swej przyjemności, własną ręką stworzone. Była kobietą, „obciążoną” potrzebą własnego domu. Miała taki swój dom... Przez lata całe ukochany... Uciekła od niego, opuściła go. Trudno, trzeba było. Lepiej opuścić dom, niż siebie w nim zagubić. Zresztą jest silna i stworzy nowy...

Znalazła malutkie, milutkie mieszkanko. Czyjaś staranną ręką pewno kiedyś wypielegnowane — dziś — do wynajęcia. Czuła i staranna ręka zdjęła z niego swój najbezpośredniejszy ślad, drobiazgi, ozdoby zabrała, został szkielet, który trzeba było obciągnąć czemś miękkim, przytulnym, ubrać w nowe ozdoby, żeby wlać weń nowe życie. To doskonale.

Bardzo energicznie zabrała się, jak mówią panie domu, do zorganizowania gospodarstwa. Pieściła to słowo: „moje gospodarstwo w Paryżu”, a czasem, niby żartem, niby w tajemnicy przed samą sobą nazywała je: „nasze gospodarstwo w Paryżu”.

W jakąś niedzielę, rano, wyruszyła na „marché aux puces”, żeby tam kupić dużo ślicznych, tanich rzeczy. Nie kupiła nic, ani taniego, ani ślicznego, tylko zobaczyła całą masę angielek, które udawały, że się na wszystkim doskonale znają i z poważną miną dzwoniły palcami w naczynia cynowe, mosiężne i brązowe.

Za to na rue Bonaparte znalazła wielkie skarby: filiżanki z sewrskiej porcelany, ze śmieszną białą różyczką, pękatą wazę chińską, pokrytą delikatną koronką deseni, zabawny kałamarzyk — różowy i niebieski, firanki, ślicznie po koronce spacerujące figury. W stosach kawałków starych materji wygrzebała na makaty i poduszki wypłowiałe jedwabie, misternie wytłoczone aksamity. Na quais zaglądnęła do kilkuset cynowych dzbanków i wybrała dwa, zgrabniutkie, ładniutkie i kilka nikomu na nic niepotrzebnych farfurek. Przewróciła całą tekę starych sztychów, wyszukała odpowiednie rzeczy, obejrzała niezmierną ilość gracików i w triumfie zносиła je do domu. Kupiła sobie wiele, wiele książek, wszystkie, które mogłoby się jej chcieć czytać, żeby były na zawołanie, tylko ręką sięgnąć. A także trochę starych druków przypadkiem spotkanych. Szczególnie polubiła jednego Wirgilego w przekładzie włoskim z 1549 r. Na pierwszej stronie był bardzo ciekawy drzeworyt: woły w olbrzymich jarzmach — z ogonkami zakręconymi jak u świnek, pracują leniwie, choć przyświeca im pызate słońce, wdzierające się

gwiazdy, a księżyc ostremi rogami przebija błękit. Z kraju sprowadziła sobie różne książki — kochane.

Z kuchnią było sporo kłopotu, ale wszystko doskonale się skończyło. Poszła do „Art rustique” i wybrała wyplatane krzesła, powiesiła na oknach białe, naiwne firanki, — muślin w drobne groszki, na półkach poukładała bretońskie misy, w kącie na stołku postawiła wielką miednicę glinianą i dzban w kształcie amfory, ślicznie polewany szafirem. Z małej kuchenki paryskiej zrobiło się nietylko coś miłego, ale niby swojskiego. Przeczytała wszystkie ogłoszenia wywieszone w metrze i u Potin’a zaojrzała bogato swą spiżarnię.

Sypialny pokój był trochę ciemny, ale łóżko było bardzo wielkie, niskie, ładne w swem empiry rowem wygięciu. Okryła je spłowiałym złotym aksamitem i przy oknach zawiesiła takie same, ciężkie portjery.

Salonik za to pełen był wesołości i kokieteryj 18-go wieku. Ściany w białych ramach, obciągnięte różowym jedwabiem, dwa naprzeciw siebie, rozmawiające wciąż ze sobą lustra, kominek, mebelki, miękkie, wygodne, dywany obejmujące pokój ciepło i przytulnie.

A potem, gdy już wszystko było gotowe, wszystkie ciekawostki nowego mieszkania zaspokojone, wszystkie niepewności, jak będzie lepiej? usunięte, wszystkie „ublietki” wypełnione, wszystkie kąty zaokrąglone, drobiazgi na swoim miejscu, dom zorganizowany, kołowrot codziennych dni, — uczuła smutek życia bez przeszłości, pustkę obojętnych ścian, w których się jeszcze nic nie przecierpiało, w których niema nic — z nas. Zdawało się jej, że opuszczony pokój w pensjonacie — był jej

bliższy, życzliwszy. Jakąś część swoją zostawiła tam nieodwołalnie — już mniejsza o to radość to była, czy ból, słodka nauka promiennych uśmiechów, czy gorycz doświadczeń w zmaganiu się z cierpieniem. Już mniejsza o to. Tam wspomnienia przeżyć budziły ją rankiem i zamykały oczy do snu.

To nic. Będą i tutaj. Tylko inne.

Spotkała dawną przyjaciółkę, bo w Paryżu jest rzeczą niemożliwą nie spotkać swej dawnej przyjaciółki — i zaczęły chodzić do teatrów.

Wybrały się kiedyś do Champs Elysées — ulubioną 19-stką.

Była lekka, perłowa mgła. Paryż, jedyne w świecie miasto zna tajemnicę piękności mgły. W Londynie jest ona klęską — tu cudem.

Mgła w Paryżu bywa różna: sina, chłodna — wtedy wszystko kamienieje: drzewa, gmachy, ludzie; szara mgła, wsiąkliwa, miękko otulająca i obejmująca; jakaś stalowa, niesamowita, poza którą nic się nie widzi, jakby nic poza nią nie było; liljowa mgła wiosennych mroków, rozwieszona w przejrzystych zasłonach i perłowa chłodnych zachodów. Z opisów, z obrazów znała te tony srebrzyste, ale ani słowo, ani pędzel nie były w stanie oddać tej gry i tej zmiany. Słowo jest za słabe, a zarazem za ciężkie, linja za kapryсна, barwa za blada, kształt fałszywy. To jest coś co tworzy nowy świat. Obelisk, fontanny, figury, gmachy, powietrze, niebo, wszystko jest z jednego materiału zrobione, z czegoś co się pomyśleć ani oddać nie da, a co się tylko widzi.



Siedziały w fotelach pierwszego piętra, w corbeilles, naprawdę zgrabnych koszyczkach z jasnego łyka, wybitych malinową materją. W antrakcie patrzyły na salę. Nagie ręce podnosiły się w górę i opadały na barwne jedwabie sukien, zataczały koła, zgrabny łuk, wyciągając się wolno do uścisku, ładną, kręconą, nieomal rokokową linią, — gdy paluszki mrugają wesoło miłego powitanie.

Były to niby fragmenty wieńców, z białych, bardzo białych róż, albo białych zrumienionych różowym połyskiem zachodu, albo chłodnych, sztucznych, z kości słoniowej rzezbionych róż.

Poemat nagich rąk.

Światło sączy się przez szklaną szybę, gdzieś w sklepieniu zawieszoną, płynie złocistym półtonem, napelnia wszystko, a nie czuje się, nieomal nie widzi jego źródła. W kularach wielkie starożytne kaganki delikatnie, łagodnie wywołują na ścianach freski, owijają, pieścżą kobiety. Szczegóły stroju

na tem tracą, ale twarze na tem zyskują. Intensywne kolory bledną, dają złudzenie prawdziwej piękności.

Grają balet rosyjski, zapach kadzideł biegnie w każdy kącik sali, muzyka cicho i dyskretnie podpowiada to, czego ruch wykonać nie zdoła, światło nie rozrywa uwagi, lecz pozwala lepiej poddać się nastrojowi.

Powoli, powoli, jakby się tonie, pogrąża, usypia w rozkoszy wszystkich zmysłów.

Lubiła też małe teatrzyki, jakąś Potiniere, lub Daunou. Nie dla sztuk, ani gry. Ponieważ Paryż jest miastem możliwości... grać można w nim źle, najgłupsze sztuki. Autorka, która jest jednocześnie aktorką, zapłaciwszy słono, wypowiada tym kilkuset osobom, które naiwnie co wieczór tu przychodzą — najnudniejsze w świecie tyrady. Takie, któreby nawet w Gromniku nie miały już powodzenia... Ale Marja często tam chodziła — bo tam ładnie, dla radości oczu!... I dla radości — wygody! Mała bombonierka szafirowym lub różowym jedwabiem obciągnięta, ciepła i wesoła, girlandy lampek ukrytych w ciemnikach, foteliki ze stołeczkami pod nogi, szufladka na drobiazgi. Siedzi się jak u siebie w domu, lub na jakim przyjęciu. Panowie przez szacunek dla towarzystwa, bo nie dla sztuki, w smockingach, panie ślicznie ubrane. Schodzą się tu, żeby czemś wypełnić wieczór, a przytem pretekst do spotkań i kolacji.

Puszczaly się na różne wyprawy, które mogą przyjść do głowy tylko entranżerkom. Im tylko dostępne i — nieszkodliwe. W jakąś sobotę, poszły do kabaretu artystycznego: Les uns et les autres.

Nie chodzi o to, kto w tym dymie, gwarze, tłumie deklamuje swoje wiersze, gra swoje kompozycje. Najciekawsze — to publiczność.

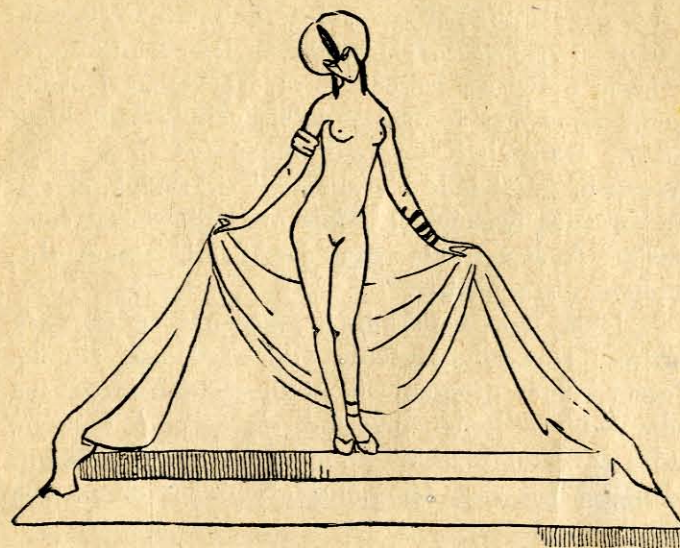
Kanadyjka, cudna kobieta, o białych, przez koketerję niefarbowanych włosach, czarnych, mocno czarnych oczach, w strojnej czarnej sukni wieczorowej. I cała w koralach. Jasnych, różowych, nieomal przezrzystych. Długie kolce, sznur spływający na piersi, wielka kamea, papierośnica, rączka laseczki... Siedzi sztywna, poważna.

Modelka — na plecy zarzuciła batikowaną chusteczkę, gdy ją ktoś zdejmuję — wydaje się nieomal naga.

Para — ona śliczna, młodziutka, zgrabna. Krótkie włosy. On w wielkich i okrągłych okularach — zajęci tylko sobą, Chce mu się ciągle podobać. Ale twarz jej niema dla niego tajemnic. Otwiera torebkę, przygląda się w lusterku. Poprawia fjoczki i maluje usta, z których przed chwilą zcałował róż.

Inna — pijackie oczy, ochrypły głos, przy niej, ktoś z dawnej bohemy, wielka grzywa, aksamitna kurtka. Całują się w same usta, może nawet po — proustowsku. Tymczasem ktoś drugi spaceruje ręką po jej odkrytych plecach.

Ona najchętniej chciałaby tego kelnera, który pochyla się nad nią bardzo poufale.



Widziały w różnych revues kobiety bez trykotów, cache-sexe'y, nombrile, babilońskie uczty, zabawy z fokami, żywe karjatydy, przepyszne stroje, wachlarze ze strusich piór, wielkie jak parasole, fantastyczne pomysły, nadzwyczajne efekty sceniczne.

Tancerka, w ich oczach zmienia szaty, coraz niespodziansej barwy, rozkwitają i przekwitają kwiaty, lilja staje się purpurową, a róża blednie, woda, w której kąpią się kurtyzany, mieni się co chwila. Marmurowa ich nagość nurza się w roztopionych ametystach, zapuszcza w głąb ciemnego szafiru, lub wydobywa z opalowej fali.

Jedząc „eskimosy“ mówiły, że ciało kobiece jest ślicznym motywem dekoracyjnym i że światło czyni cuda.

Poznały kłamaną wesołość kabaretów z Montmartru. Tych sławnych w 90-tych latach, o których w kraju mówi się jeszcze z dreszczykiem, i ostatnich, najnowszych, najmodniejszych — rosyjskich. Gdzie prawdziwi kozacy kubańscy stoją przy drzwiach, gdzie jada się „kawiar“ i szaszлык, słyszy się romanse cygańskie: „Mnie nie kuda dalsze śpieszyt’”. A w antraktach gra jazz-band, jeszcze głośniejszy niż wszędzie.

Jakiś pan podszedł i grzecznie spytał, czy można? Równie grzecznie odpowiedziały, że nie. Potem kelner proponował płatnych danserów, też odmówiły. W końcu przysiadł się do nich murzyn, który w Matin’ie „robi“ politykę kolonialną. Mówił, że amour i vice to jedno i wyraził obrażającą wątpliwość:

— Czyż polki mają temperament?

Słuchały pobłaźliwie.

Bawiły się patrząc na angielkę w ślicznej sukni; tańczyła cały wieczór z eleganckim młodzieńcem, fundowała mu szampana, a w końcu na stoliku zostawiła dwadzieścia franków. Młodzieniec podał jej płaszcz aksamitny i odprowadził do taxi — czegoby bez dwudziestu franków żaden francuz nie uczynił.



Od biedy znajdzie się zawsze jakiś nieszkodliwy opiekun, z którym można pójść zwiedzić różne „przybytki miłosne”... Takie, które „Sourire” i „Mont flirt” zachwala.

Zastanawiały się długo, ale w końcu nie poszły. To przecież ohydne. Tembardziej, że raz wybrały się do Petite Chaumière. Chciały przeżyć nastroj z „Uczty” Platona, zobaczyć greckich efebów i wieńce z róż. A zobaczyły w miejscu marmurowej sali ubranej w rzeźby i malowidła — budę jarmarczną, w miejscu liljowych, złotem haftowanych himatjonów — wyświechtane stroje, w miejscu rozmowy lekkiej a głębokiej — wstrętne kupczenie ludzką słabością.

Nie kratery z winem — lecz kieliszki likieru po wiele franków, nie wonne dymy, lecz ostre perfumy, nie peany, lecz wrzaskliwy jazz-band, nie rozkochany w sobie Narcyz, lecz młodzieniec przebrany za subretkę...

A potem zmęczona tem wszystkim zapragnęła wrażeń czystych i tylko dla siebie.

Szukała muzyki, która, tem więcej jest dla nas, im mniej osób ją słyszy. Chodziła na koncerty do domu Balzaka, na które samo zaproszenie już jest śliczne. Gdzie się gra przy zamkniętych drzwiach, w ciepłym świetle świec woskowych. Siedziała w kątku, w gabinecie „tytana pracy“, a w przerwach spacerowała po ogrodzie. Rwała winne gałązki i myślała, jak to pięknie będzie, w jesieni, gdy słodkie brzemienne sokiem grona na nich się położą. Wracając z Passy z głową pełną sprzecznych myśli. Była w domu tego kto przez siedemnaście lat kochał i tęsknił. Widziała pałacyk księżnej Lamballe, który jakaś amerykanka kupiła. Tam też, na Passy, na cmentarzu, w romantycznej kaplicy pochować się kazała Marja Baszkirczew i na tym samym cmentarzu, na jakimś grobie stoi, w powietrzu się rzucając, piękna, naga, zupełnie naga kobieta.

A w Japonji do niedawna aktów nie przyjmowano na wystawy...

Esencja wieków.

Przez bramę uskrzydłonych lwów, pod opieką zwycięskiej Nike, albo na chybił trafił, pierwszym lepszym wejściem jak nogi poniosą, wpadała do Luwru, rano, gdy galerje były jeszcze puste. Szukała różnych obrazów, do których, teraz dopiero to widziała, tęskniła lata. Czasem czyniła wyprawyspecjalnie do jakiejś szkoły, lub do ulubionych artystów, ale zawsze była dobra i uśmiechała się do pokrzywdzonych obrazów, o które nikt nie dbał

tylko dlatego, że małemi literkami były zapisane w Baedekerze.

Chodziła często do jednej dziewczyny greckiej, różowej laleczki tanagryjskiej — oglądała złośliwym okiem jej towarzyszkę, — miłym, przyjaznym — jeden flakon na perfumy. Znalazła, wyszukała ten leuryton wśród wielu innych — Wenus pod wachlarzem z palmy na nim wyrysowana — i niktby jej nie potrafił wytłumaczyć, że to nie jest własność tej ślicznej figuryńki.

Miała wierną przyjaciółkę w pewnej damie florenckiej z 15 w., słuchała szczebiotliwych zwierzeń dziewcząt Greuze'a i mądrych rad pani de Pompadour.

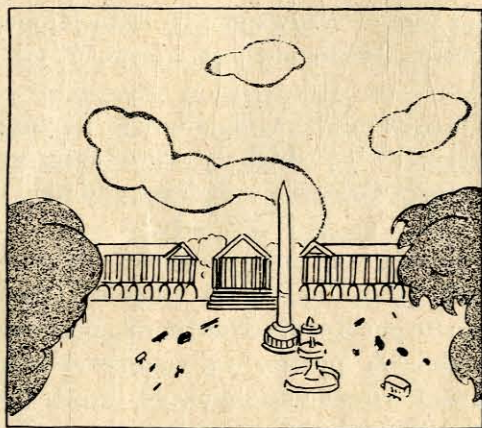
Wybierała się, niby w gości, w odwiedziny, dziś do tej, jutro do tamtej znajomej osoby, stosownie do usposobienia i do tego co komu powiedzieć miała. A potem, żeby odświeżyć przeżyte kiedykolwiek wrażenia, zobaczyć drogę, jaką ludzkość nakreśliła, biegła, przebiegała setki metrów sal: zbierała tajemnicze uśmiechy bóstw wschodu, patrzyła na wojowników asyryjskich, słyszała nikomu nie słyszane dźwięki harfy egipskiej, biegła do woznicy, który już ręk nigdy mieć nie będzie, za lejce nie uchwyci i nie poprowadzi zwycięskiej kwadrygi.

Uciekała od zakapturzonych mnichów — płaczków, co wyszli jej na spotkanie, odmładzała duszę naiwnością średniowiecznych świętych, olśniewała swe oczy połyskiem majoliki włoskiej, szarość dnia dzisiejszego zatarła blaskiem klejnotów korony francuskiej i kokieteryją mebli osiemnastego wieku.

Zazdrościła dziewczynie z obrazu Roslin'a, że zawsze młoda i czeka z kwiatami na kochanka, za-

chwycala się przejrzystością ciał Fragonarda, nieśmiertelnem bohaterstwem Sabine, wdziękami roztańczonych dziewcząt Carpeau.

Wracała do domu odświeżona, niby zanurzona w odradzającej kąpeli, jakiejś esencji wieków.



Pochwała samotności

Umieć być samotną, to nie znaczy nie tęsknić za inną duszą, jak my czująca i widząca. Tęsknota — to wzlot ku niemożebnościom. Dojmujący ból, ale dostojny.

Tak myślała w pierwszych dniach swego nowego życia, w swoim nowym domu. A potem ciągle, każdej chwili, jakaś zdobycz, jakieś odkrycie, jakaś radość płynąca z tego, że się umie być samą.

Dwie są samotności. Jedna — pragnie jej młodość, której beztrosce wszyscy stają na zawadzie. Używa jej na to, aby móc czynić wszystko prędko,

bez namysłu, kiedy się chce, bez cudzej krytyki szafować swymi skarbami. Płochą samotność. Druga — mądra, dojrzała potrzeba samotności; ona umie zatrzymać, pozwala sączyć wolno, w kontemplacji każdą zbyt szybko biegnącą chwilę, wejść w siebie, zrobić swój bilans, żyć sobą. Mocna samotność.

Radość mocnej, silnej samotności.

Gdy się Marja budzi rano — jest sama. Wszystko do niej należy. Całe jej życie. Cicho. Paryż nie istnieje, niema go, jego rozgwaru. Tylko w tem nagle zamarłem milczeniu lecą dzwony. Dzwony budzącego się miasta. Jedne wzywają kogoś do czegoś, inne głoszą jakieś prawdy.

Nie sięga ręką po zegarek — woli liczyć bijące godziny. Jakieś uderzenie zegara gubi się w nagle powstałym szumie i pozwala jej igrać sobie z czasem.

Nauczyła się, jak Proust, z echa ulicy wróżyć pogodę i rozpoznawać głosy przekupniów. Lubiła górską melodię fletu, który obwieszczał, że ktoś klei starą porcelanę, różnych marchands d'habits et chiffons, z biegiem czasu zgłębiła nawet tajemnicę obietnic parasolnika, który umiał złamanym drutom wrócić siłę i sprężystość.

A potem, dzień cały, jest jej niepodzielna, królewską własnością. Jest jego panią, od nikogo niezależną. Może robić co chce, iść gdzie chce i każdej chwili każdy plan zmienić. Wszystkim kaprysem pozwolić przyjść do głosu. Albo, jeśli się nic nie chce, nigdzie nie iść, nic nie robić, na nic nie patrzeć. Tylko zaszyć się w głąb olbrzymiego fotela, z książką, której się nie czyta, z robotą — która jest grzeczna i cierpliwa. Zdjąć maskę, pozwolić twarzy bez żadnej kontroli mówić co pragnie, co duszy dolega. Nawet łom cicho płynąć...

Już nie kocha człowieka, tylko swoją do niego miłość? Może nawet nie to. Prostu jeszcze nie możliwość zapomnienia. Najgorsza, bezowocna, bierna męka....

A nagle, oczy i dusza, chcą zmyć ze siebie wszelki ślad łez. Jakim cudem to się dzieje, że zmyć je można, bez śladu? Włożyć na nowo maseczkę towarzyskiej obłudy, jak się wkłada kapelusz w którym dziś będzie do twarzy i iść—wśród ludzi, na ulicę. Zbierać mile spojrzenia, uśmiechać się do nieznajomych i pozwolić im uśmiechać się do siebie.

Albo w gęsty, gęsty tłum. Tłum, który coś bawi, podnieca, przeraża. Stopić się nim, złączyć: wziąć od niego zabawę, podniecenie, cierpienie. Nie bała się już tłumu. Bezpowrotnie minął jej — mal de la rue. Tłum przestał być dla niej złym, groźnym. Stał się bliskim — albo obojętnym. Była dla niego niczem, ale i on, gdy chciała, mógł być dla niej niczem. Mogła, wśród niego będąc, oddzielić się silną, własną skorupką. I zawsze i wszędzie pozostać sobą.

Szczególnie lubiła wieczory. Cieszyła się tajemnicą zamkniętych drzwi. Tem czego się też dawniej bardzo bała: że w tem wielkiem mieście jest sama — zgubiona. Nie istnieje, niema jej dla kogoś, dla kogo nie chce być. Adres jej zamknięty na siedem pieczęci, strzegą go cerbery z service des étrangers. Nikomu nie dadzą. Więc żyć — jakby się nie było.

Gość niespodziany nie wejdzie, niczego nie zażąda, nie przerwie wypoczynku, nie zmąci atmosfery jej domu. Radosna świadomość, że nikt z tego olbrzymiego miasta niema prawa przekroczyć jej

progu, wiedzieć co robi, ile myśli mądrych, a ile naiwnych przechodzi przez jej głowę. Jak jeszcze walczy z dawnymi uczuciami, jak ją czasem — zwyciężają.

Dobrze wracać do domu, gdy deszcz pada, gdy wiatr lutowy obala ludzi na ulicy aż potworki



z Notre Dame z nich się śmieją, do domu, gdzie jest ciepło, za chwilę będzie jasno. Do domu, który jest domem, schroniskiem, osłoną, ostoją. Już dawno przestały Marję boleć czekające w cudzych oknach światła. Właśnie, to tak miło, że na nią nikt nie czeka! Że swoje światło sama zaświeci — dla siebie tylko.

Rozbłyły lampy jej ręką zapalone — jedna po drugiej. W ciemnikach, miękkie, łagodne, pieszczące światło.

Zamykała drzwi, przekręcała klucz, raz, drugi, trzeci, żeby się czuć bardzo u siebie. Widziała niedawno w teatrze, jak to czyniła Safo Daudet'a. Ale Safo nie była wówczas jeszcze sama... Zasłaniała grube zasłony przy oknach. Zdejmowała prędko suknię w której wróciła z ulicy, która dotykała się ulicy, prędzej, żeby nic stamtąd nie weszło do ciszy jej domu. Kładła jakąś barwną, własną modą uszytą szatkę, a na nogi pantofelki haftowane, z puszkami strusiem u czubka. Takie, które błota się lękają, i stąpać lubią tylko po dywanach. Na dowód, że jest u siebie i wyjść z domu nie trzeba.

Krzętała się po pokojach, troskliwie układała lalki, pieszczotliwie poprawiała kwiaty, gotowała mocną, doskonałą, aromatyczną herbatę, której listeczki przyniosły ze sobą zapach dalekich, egzotycznych krajów. Albo kawę wschodnią. Na długiej ręczce mosiężną czareczkę grzała nad ogniem. Wonna, czarna, słodka kawa...

A czasem, jak mała dziewczynka, urządzała sobie „bal”. Nakrywała stolik, ustawiała lśniące talerze, przejrzyste, takie co ślicznie dzwonią. Szkła i kwiaty, dnia tego jej najmilsze. Zamówiła na oznaczoną godzinę jakiś pasztet, który, gorący jeszcze z nikłowego naczynia przenosił się na półmisek. Mały kuchcik niby francowski Rożenek wydobywał go zachwalając zalety i wygląd. A następnie zjawiał się chłopak z cukierni, cały w bieli, bardzo poważny i przejęty swą rolą. Ten znów

dbał o to, by marengi, w bliskiej zażyłości z lodami żyjące, nie ucierpiały od ich zimna.

W długie wieczory czytała, szyła... I cieszyła się, że tam gdzieś jest olbrzymie, gorączką trawione miasto, a tu cisza i spokój. A czasem zdawało się jej, że niema żadnego Paryża, tylko ona jest — u siebie.

Kładła się spać. Gasiła lampę i odsłaniała ciężką firankę.

Latarnia z ulicy oświetlała pokój, zaciśnie jej łóżka. Jej latarnia! Przecież to dla niej, za dotknięciem różdżki czarodziejskiej codziennie przychodziło to światło. Ktoś, gdzieś daleko, też dla niej, grał zawsze o tej porze tę samą melodię...

Myślała wtedy: oto skończył się dzień pełen zajęć drobnych i większych, pełen ruchu, napiętej uwagi, wysiłku myśli. Już jest jedynie wspomnieniem w nocnej ciszy zamkniętego pokoju. Co był wart? Co zrobiłam? Jaka w tym dniu byłam?

Po raz drugi przeżywała szczegóły. Wracały fragmenty rozmów, wychylały się ludzkie twarze, przypominały widziane obrazy: ulice, którymi szła, wystawy, jakieś uśmiechy, raz walka dwojga oczu, wymiana słów, niby starcie szpad, cicha radość drobnej, dla własnej przyjemności oddanej komuś przysługi i przypadkiem pogłaskana jasna główka dziecka....

A co jutro będzie? Nowe niespodzianki. Może spotka kogoś... Jakiś tajemniczy instynkt kieruje ludzkimi krokami. Dlaczego tu się zatrzymujemy, w tę a nie w tamtą idziemy ulicę? Żeby dać możliwość wypełnieniu się przeznaczenia. Czy też przy-

padkowi? Idzie się wciąż naprzeciw jakiejś niespodziance. Może być nią przelotne wrażenie, może być sens całego życia...

Poukładała do snu logikę, rozsądek i drobne obowiązki. Szły spać spokojnie, zmęczone całodzienną służbą. Wiedziała, że jutro równie radośnie staną przy jej boku. A za to pozwalała rękom i nogom, dzień cały uległym, zająć jaką chcą pozycję. Nogi, mądre i silne, które posłusznie prowadziły ją po świecie, przebiegając dalekie przestrzenie, zmęczone kurczyły się i szukały ciepłego schronienia. Ręce zawijały się w krąg, nad głową, przytulały do jej twarzy, by w końcu, jak małe dziecinne rączki usnąć cicho na jedwabiu kołdry.

Niech też idą spać kochane oczy i dobre uszy! Oczy przyzwyczajwszy się do półmroku, powoli, coraz wyraźniej, wszystko odnajdowały. Żegnały na długie niewidzenie każdy kącik i każdy drobiazg. Uszy bawiły się dźwiękami, które teraz dolatywały, jeszcze częstsze i wyraźniejsze, niż rano. Tak jakoś bezinteresownie, jakby to czyniły nie dla niej, dla Marji, lecz dla samych siebie. Cieszyły się głosami, najbardziej nieuchwytnymi, najdrobniejszymi głosikami, turkotem ostatnich tramwajów, pogwizdem przelatującego auta, słowami czulego pożegnania w jakiejś bramie.

Długo zegary biją dwunastą. Jeden cichutko, nieśmiało jęczy, niby płacze żalem za czasem, co odszedł, inny odważnie, jak kobieta, co się swych siwych włosów nie lęka, głosi, że oto dzień już odbiegł. Ten obojętnie wydzwania nauczoną lekcję, jakiś, w powietrzu, niby na wielkiej tablicy, pisze wielkie znaki wykrzykników.

Tętnią wozy głucho, gdzieś daleko, jadą już

do hal. Czasem przez uchylone okno doleci zapach kwiatów, uwieczonych w wielkich pudłach. Zmartwychwstaną jutro, nasycone barwami i słońcem, żeby ozdobić miasto. A z tym zapachem zmieszany smak owoców, ostry pomarańcz, słodko-mdły bananów i świeży, wiosenny truskawek — co dążą do Paryża z dalekich krajów.

A potem już nic nie widziała i nic nie słyszała. Jak w upojeniu miłosnem nic się nie widzi i nie słyszy. Bo nagle wszystko życie zamiera. Nawet zegarek, który przecież jest czemś najbliższym człowieka, gdy się go nie słucha, zawiesza swe urzędowanie.

Czuła się taka szczęśliwa i taka pewna swego szczęścia, że pozwoliła sobie nawet marzyć.

Marzenie, zdrajca utajonych uczuć.

Przybliża ludzi, którzy, gdy się o nich nie myśli, są już bardzo daleko....

Prowadzi do jakichś miłych drzwi, na zawsze zamkniętych...

Wkłada suknie, w których się było szczęśliwą, usta ubiera w uśmiech kochany...

Przegląda karty życia, jak karty książki, zamkniętej krwawą lilją, pozwala przeżyć wszystko co było i co nigdy nie będzie...

A nawet cicho, bezboleśnie — własną śmierć!...



Kłęcząca przed kominkiem i rozpalała ogień. Bardzo lubiła rozpalać ogień. Bardzo lubiła ogień. Właśnie wróciła była z jakiegoś odczytu gdzie prelegent dowodził, że zwierzęta tego nigdy nie potrafią, bo nie chwytają związku między przyczyną a skutkiem.

Tylko, że choć przyczynę i skutek znała, jakoś jej to dziś nie szło. W Warszawie było łatwiej. Kładło się najpierw parę szyszek — jak miło zbierać szyszki w lesie sosnowym! — na to „szczypeczki“ i za chwilę tryskał taki wesoły, pełen zapachu płomień. Tutaj te boulets—brzydkie, czarne, bezduszne potworki... Kupiła w jakimś wschodnim magazynie ambre i sypała ją na ogień.

Już się pali...

Można spokojnie wsunąć się w fotel i trochę pomyśleć. Miała wrażenie, że dawno nie myślała o sobie. I że winna jest zdać sobie z samej siebie sprawę, zrobić porachunek uczuć. Bo gdy tak,

przelotnie niektóre pytania przychodziły na myśl, nie umiała zdobyć się na ścisłą odpowiedź: „Potem. Kiedyś“.

A przecież dobrze jest wiedzieć, jakto tam, u siebie, w głowie, to wszystko się ułożyło i jakie co miejsce zajmuje.

Trochę to nawet wie, tylko nie napewno. Nagle kawałeczek prawdy sam się przed nią odsłonił. Stłukła nogę i przez parę dni nie mogła o niej zapomnieć. Wiedziała, że to właśnie do tego kolana pamięć jej ciągle i uporczywie wraca. A przecież o drugim, że je ma, nie pamięta wcale. Aż dopiero wczoraj, ze zdziwieniem radosnem przypomniała sobie; „A moja noga“. I o tem, że o niej nie myśli. Czyżby nie bolała? Widocznie nie boli.

Widocznie i inne rzeczy nie bołą, skoro dotkliwie, ciągle, nudnie i bez przerwy pamięci jej się nie narzucają. Bo właściwie bóle fizyczne czy duchowe jednakie mają przejawy. Więc już nie boli?

Tak, trzeba wszystko powoli, bez skargi przecierpieć, a potem zapomni się o swem cierpieniu. Jak to dobrze! Już nie kocha? Tego nigdy powiedzieć nie można. Bo tego się nigdy napewno nie wie. Ale jakaś zmiana w tej miłości, jeśli nawet jeszcze jest, nastąpić musiała.

A właściwie z miłością tak jak z przypływem i odpływem morza. Przyływ—fala zalewa brzegi, idzie na przód wszystko ogarniając. Jest potęgą z którą nie można walczyć, bo się wie, że jej nie zwycięży. Ale gdy przyjdzie godzina odpływu, to widzi się, że pod falą wzburzoną było dno, którego lękać się nie trzeba, bo jest spokojne i niesko-

dliwe. Algi, co płynęły sterując długimi warkoczami, są oślizgłe i na słońcu tracą swą barwę, muszelki, te szare, brzydkie, siedzą przypięte do kamieni, opalizujący brzeg, gdy woda ustąpiła, pokazuje zwykły piasek. Poprostu dno ani straszne, ani piękne. Wzburzone fale, rozpryskane piany były jego pięknnością i grozą.

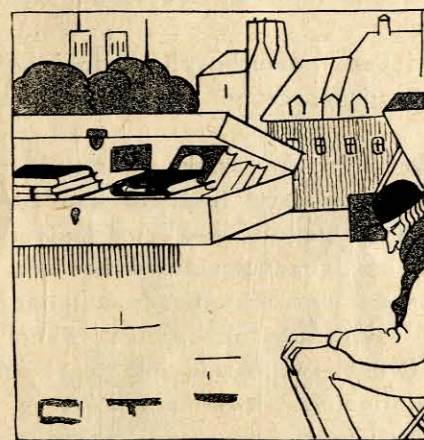
Już wie i nie boi się — nawet gdyby przyszła dziewiąta fala...

Co tę zmianę uczyniło? Co otworzyło oczy? Paryż? Czyżby samo miasto? Czy ta odwaga, że zdobyła się na to by wyjechać, nie widzieć go? Nieraz już — uciekała. I nawet miewała chwile złudzenia, parę spokojnych dni. Że nie wszystko za nią poszło... Może ten nieznośny bagaż przepadł gdzieś w drodze, zawieruszył się na kolei? A nawet, gdy wiedziała, że jest, umiała sobie powiedzieć: nie rozpakowywać go, nie oglądać, niczego nie szukać, udawać, że nic niema. Teraz jest inaczej. Nie umiała kłębka poplątanych przeżyć rozplątać, ale wiedziała jedno: pokochała Paryż i pokochała siebie.

Głęboko zahaczyła duszą o to miasto. Przed kilku miesiącami było jej obojętne, a nawet wrogie, dziś bliskie i jedyne.

I pokochała siebie. Bo poznała rozkosze jakie człowiek tylko z siebie czerpać może, bo tylko sam sobie dać je zdoła. Odnalazła samą siebie. Ale inną, niż była dawniej. Nie taką poświęcającą się, ofiarną, gorejącą — inną. Ani wiary, ani entuzjazmu, ani sił do zdobycia się na ofiarę. Gorejące serce zgasło. Jest serce silne, pewne siebie, i świadome swej siły. Serce dumne, a przez to zwycięskie. Serce pyszne — skarb bezcenny.

Już w niej nic nie było z miłości — przebaczenia i tęsknoty. Ani żadnych ustępstw. Wóz jej wtoczył się w nową kolejkę, z której dla nikogo nie zejdzie.



Radość ze wszystkiego i z niczego...

Jak się jej dalekie wydawały te dni, gdy umartwiała swe oczy i uszy! Teraz bardzo je sobie chwaliła: że były takie przemyślne, że tak się dobrze sprawiały, że tyle z nich pociechy i radości miała, że ciekawie na wszystko patrzyły, że łakomie wszystkiego słuchały. Oczy były czasem drapieżne i okrutne, czasem żarłoczne i zachłanne a czasem dziecinnie spragnione nowości.

Że przecież tyle im zawdzięcza! W tym Paryżu, do którego przyjechała taka biedna, taka biednusia, tyle jej rozkoszy dały! Dały poznać

nowe, nieznane rzeczy! Poznać, dotknąć, zasmakować! Każdą upragnioną rzecz, na każdy dzień pragnienia inną, wybierała sobie oczyma i nadzieję, że ją kiedyś będzie posiadać, każdy głos, który doszedł chowała do skarbca swych zdobyczy. Dzięki im tyle przeżyła! Mocno, intensywnie. A przeżyć coś — to wziąć sobie na własność niepodzielną.

Radość uszu posłusznych, radość oczu, które bez wysiłku, przypadkiem, nawet nie chcący, tyle widzą...

Chciała teraz wszystko widzieć i umiała wszystkim się cieszyć. Każdym kamiennym wianuszkiem na Panteonie, każdym wrębem wieżyc Notre-Dame, każdym zachodem słońca nad Luksemburgiem, coraz innym tonem szarości miasta; równie jak wróżbą fakira na foirze, przez okno dojrzaną wystawą: śliwkami w marcu, lalkami, które wyglądają, jak bombonierki, kwiatami, które są jak lalki, kokieterją barw rozrzuconych na olbrzymich szalach, uśmiechem twarzy, co mignęła na zakręcie ulicy, przypadkiem spotkanym błękitem oczu. Codzień nowymi odkryciami, cudem czarodziejskiego miasta.

Nie spychać, nie gubić każdego dnia, w oczekiwaniu lepszego. Ale każdym żyć, żyć ciągle, przeżywać każdą chwilę, oddać się każdemu uczuciu, wszystkim drgnieniom duszy, wszystkim najprzelotniejszym momentom. Brać tysiące rozkoszy dostępnych wrażliwym i subtelnym zmysłem. Dla innych nie istniejących. Których zresztą sama dawniej nie знаła i nie podejrzewała.

Nie wiedziała, że wszystko jest we wszystkim. I że w nas samych leży jeśli nie możność szczęścia — do szczęścia potrzeba właściwie tak wiele i tak

mało — to możność wydobycia z życia bogactwa wrażeń.

Odnalazła siebie. Zdobyła swoją prawdę — wieczną, odwieczną. Pokochała znów siebie — jako jedynie niezawodne, najczystsze źródło radości.

Gorycz cierpienia — zamieniła w słodycz bolesnego czaru — nowego stawania się duszy.



Kokieterja światła.

Czasem wieczorem myślała: niema żadnego Paryża. Tam, za ciężkimi firankami, niema nic. A jeśli zechce — będzie wszystko. Odsunie przegrodę, bo ją sama postawiła i może każdej chwili przeżyć Paryż. Paryż, który nie narzuca się, jest dyskretny, czeka w cieniu na zawołanie, pełny przecucia swej godności i pewny zwycięstwa.

Radosna świadomość, że jest odcięta od tego miasta, a zarazem, że może ono być realne, osią-

galne w całym swym bogactwie, sztuki, nauki, wesołości.

Tylko zagłębić się w ostatniej stronie *Comoedia* i wybrać sobie teatr...

Albo pójść na jakiś z niezliczonych, najprzeróżniejsze tematy traktujących odczytów...

Można też być na posiedzeniu stowarzyszenia religijnego, *Christian Science*, żeby się dowiedzieć, że człowiek wolą swą potrafi opanować wszystkie pragnienia i potrzeby, albo, antonistów, którzy upewniają, że nawet innych zmusić można do dobrych uczynków...

Gdy chęć po temu, zobaczyć urzeczywistnienie najfantastyczniejszych kaprysów bajki w jakimś kinie...

Tylko włożyć piękną suknię, zawołać taxi i jechać do dancingu....

Jeśli nastrój egzotyczny, to tam gdzie usługują jawajczycy ze złotymi sztyletami w wysoko nastrzępionych, czarnych włosach. Albo murzyni w czerwonych frakach stoją przy drzwiach, a mały murzynek prowadzi pod prawdziwą palmę. Lub do Salonu Pompejańskiego na rue Didier.

Gdyby zdarzył się dzień tęsknoty za epoką któregoś z Ludwików, to bez trudu znaleźć się można w otoczeniu, w jakim żyła pani de Sévigné, markiza Pompadour lub Marja-Antonina.

Gdy dzień dzisiejszy bawi, ram się żadnych nie szuka i złudzeń żadnych nie potrzebuje, to ciasnota Jockey'a i wielojęzyczność Rotundy wystarczą.

Pewnego wieczoru, zapragnęła przeżyć nie tylko światła Paryża. Kokieterję jego światła.

Szła do Sekwany bocznymi uliczkami. Patrzyła

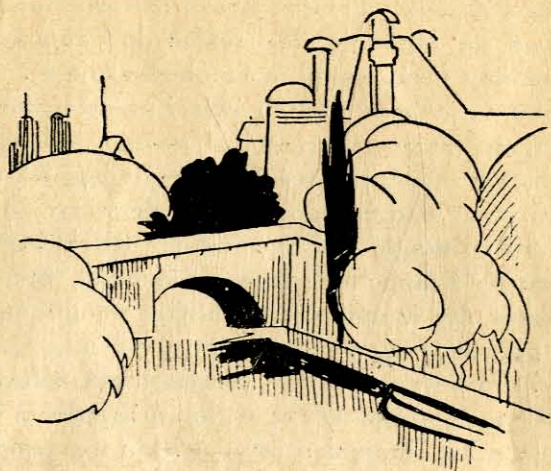
w okna. Z pod skrzydeł abażurów światło lamp rozplywa się łagodnie, zachęcając do odpoczynku, do wymiany myśli miłej a nieobowiązującej. Albo skupione na jednym miejscu świeci pracy uczonego, marzeniom marzyciela, figlom i psotom miłości.

Sklepy ze starożytnościami wyglądają jak wielkie grobowce, gdzie rodzina zmarłego przyniosła wszystko co mogło mu być miłym. Blask kaganka wędruje po ścianach okrytych makatami, rozjaśnia stare aksamity mebli, ożywia błękit emalii, na polsku porcelany rozsypuje kwiaty.

Z kiosków, na afisze płynie potok żółtawego światła, na latarnich wiszą w głębi oświetlone, białe błękitne przypomnienia: listy. Z kin przesmyknie się jakaś rozżłocona fala barw, czasem zapali się czerwona kula metra, z zaciemnionego rogu ulicy rozjarzą się ślepie auta, przeleci na bicyklu diabeł, z purpurowym ogieńkiem w zębach, zadrga na wystawie motorów błękitne sreberko wciąż ruchliwego akumulatora.

Światła rozrzucone umiejętną ręką po placu Notre-Dame z mroków wywołują zarys świątyni, jakoś widmowo, mistycznie. Zdala widzi się tylko bielejący fronton, jakby po za wieżami nie leciała w górę strzelista iglica, nie ukrywała się wielka trumna kościoła, objęta łukami szkarp, niby nogami olbrzymiego pajaka.

Marja obeszła katedrę wokoło. Światła na Sekwanie... Węże złote i purpurowe padają na wodę, drgają, wydłużają się, bawią — same sobą. Na cichym ramieniu rzeki, gdzie brzegi śpią, te same latarnie odbijając się w martwej tafli zamieniają się w wielobarwne lampjony japońskie, rozwieszone na codzienną iluminację.



Schowała się pod ziemię, żeby wysiąść na Saint Denis. Bulwary grać już zaczęły cowieczorną feerję: zapaliły swe pajaki i kandelabry, kinkiety i świeczniki, latarnie, pochodnie, łuczywa, lampy, świece i stoczki. Ogłoszenia odzywają się różnemi kolorami. W złotej aureoli śmieje się jasnowłose dziecko zadowolone, że je myją „Savon Cadum“, niebieskimi gwoździkami wyhaftowana modna plaża, La Baule, gdzieś tak wysoko, że nieomal (na środku nieba; ruchliwy pociąg łśniących liter opowiada wypadki dzisiejszego dnia, kręcą się, skaczą czerwone figurki, wirują koła, kwadraty, trójkąty.

Różowa rzeka łukowych lamp płynie przez Avenue de l'Opéra, wśród kamiennych brzegów.

Z bocznych ulic dopływają mniejsze fale światła; jedno gazowe zielonkowate, chorobliwe, drugie biją ciepłem i weselem żarówek. Gdzieś na rogu, w olbrzymich szybach, wystawa lamp elektrycznych. Naprzemian, za tajemniczem rozkazaniem

te gasną, inne się zapalają. Przedziwnych kształtów i barw, ale zdaleka wszystkie wyglądają, jak błyszczące oczy, wciąż mrugające: żółte — oczy kotów, zielone — oczy złej kobiety, czerwone — oczy co płaczą i fjołkowe — oczy greckiej dziewczyny.

Są lampy burżuazyjne, które wiszą w stołowym pokoju i oświetlają szczęście rodzinne — przez żołądek droga do serca, — są lampy ukryte w koszu owoców szklanych, jakby pod przejrzystą powłoką winogrodu płynął sok ożywczy, są grzybki z Kopenhaskiej porcelany, mocno stojące na jednej nóżce, choć dźwigają wielki kapelusz muchomora, są lampy uwięzione pod spódniczką rokokowej damy i zamknięte w kielichu kwiatu: w dzwonku polnym, tysiąclistnej róży, czy kapryśnym nenufarze. Są lampy kobiety niepewnej swych wdzięków, są lampy kochanki, kokoty i dobrej matki. A także — lampy Aladyna.

Znów czarność metra skryła ciekawość jej oczu. Wysiadła na place Pigalle, ale nie dała się zwieść piekielnym młynom. Szybko, nie oglądając się, pobiegła schodami na górę. Na Montmartre. Spojrzeć stamtąd na miasto. Na tle białej, niby wschodniej świątyni, czarne sylwetki anglików, które Cook tu przywiózł. Tacy jej byli w tej chwili nieznośni, że ledwie rzuciła okiem na Paryż. We wzgórza i doliny połamany, opasują go złote łańcuchy latarni, łączą tu i owdzie świetliste mosty zwodzone. Mrugają wielotysięczne oczy kamienic, ktoś komus daje tajemnicze sygnały iskrą nagle wykrzesaną, błędnym ognikiem, zawieszonym w powietrzu srebrnym mieczem rozsypanym drobnym pyłem złota i drogich kamieni.

A na koniec, uśmiechnęła się... Zgotowała sobie niespodziankę.

Jasną drogą toczy się auto od Łuku Tryumfalnego przez Pola Elizejskie. Jedzie w asyście latarni, co pędzą na niewidzialnych koniach. Warta honorowa wciąż się zmienia — jedna z ukłonami cofa się w głąb, a już inna na jej miejsce stawia.

Rikoszetem odbijają się w szybach pojazdu światła wystaw, kin, teatrów i restauracji. Światła te rozpinają w przestrzeni powitalne bramy, budują gmachy, co zaraz runą i przerzucają kładki złudzeń.

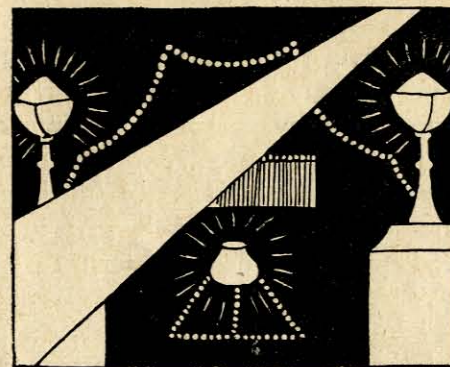
Kreślą meandry, pracowicie rysują plecionki romańskie, snują kapryśne rokokowe linje, bawiąc się w kubistów i ekspresjonistów.

Na Placu Zgody zamieć srebra i złota. Latarnie pochylają się, spychają, fikają koziołki, walą na ziemię.

Iskry, błyskawice, spadające gwiazdy i komety o lśniących ogonach. Powietrzny korowód i kołowrót świetlisty. Coraz szybciej, szybciej wiruje promieniste błędne koło. Nic, tylko światło, światło, światło. Dostała zawrotu głowy w tej mglistej zawiści blasków, które czarodziejskie zwierciadło powtarza tysiąc razy.

A potem, gdy wróciła do domu, oczy pełne tych jasności, długo jeszcze stała przy oknie i patrzyła na lunę rozciągniętą nad Paryżem. Unosiła się różowa, przejrzysta, niby mgła przetykana gdzieś niedługo prawdziwymi gwiazdami.

A pod jej baldachimem usypia miasto światła i cudów.



„Flirtuję z całym światem i śmieję się do siebie”.

Marja lubiła flirtować w salonie. Nawet paryskim. Jest w tem jakiś przymus, nieznosny obowiązek. Przytem kobieta — ta co już przed wojną była dorosła — nie chce pierwsza czynić kroków. A dziś młodzi ludzie są tak nieprzedsiebiorczy, leniwi.

Ale zato zaczęła flirtować wszędzie: w metrze, antykwarni, na ulicy. Wpada do metra. Jest zmęczona. Gdzieś się bardzo spieszy. Rozpina płaszcz. Z pod czarnego futra wysuwa się wielobarwna chusteczka. Kontroluje w lusterku twarz — puder zbyt, z rumieńcami bardzo jej ładnie.

Widzą też to inne oczy.

Na przeciw siedzi niedbale elegancki, młody pan. Figaro w ręku. Nie zwraca na niego uwagi. Daje bilet do kontroli, układa drobiazgi w wiecznej niesfornej torebce. A pan z Figarem w ręku wciąż patrzy. Ostatecznie można też spojrzeć. Raz bawczo — tylko na zwiady, drugi raz ze spokojną ciekawością, trzeci — z przyjemnością.

Oczy ich zawarły znajomość. Tylko oczy. I prowadzić zaczęły rozmowę. Że przypadek jest czarodziejem życia, że nigdy nie wiadomo gdzie nas coś miłego spotkać może, że nie trzeba być przedstawionym, żeby coś o sobie wiedzieć.

Mija jedna stacja, druga, trzecia. Ludzie wysiadają, przesiadają się, szukają miejsca, śmieją. A oni wciąż tylko patrzą. Każde spojrzenie pogłębia znajomość. Ale usta milczą. Milczą na nich słowa i uśmiechy.

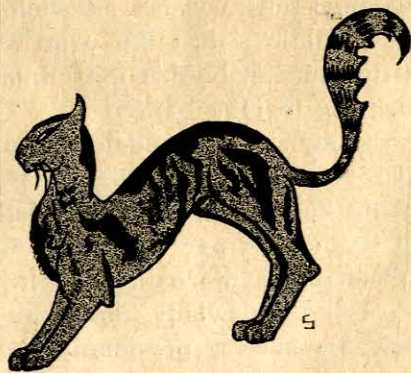
Tylko ta ciągła gra oczu.

Taki elegancki pan, który o trzeciej popołudniu jedzie z Figarem w rękę w każdej chwili gotów przerwać podróż...

Przyczaiła się, z niczem się nie zdradza. Niech nie wie że tu wysiadzie. Stop — stanęli. W chwili, gdy pociąg ma ruszać, szybko, niespodzianie wstaje i jednym susem jest na quais. Drzwi z trzaskiem same się zamykają. Pociąg odchodzi.

Pan z Figarem patrzy zdziwiony, gniewnym wzrokiem.

Marja uśmiecha się, posyła mu najpiękniejszy swój uśmiech.



Raz zaszła do małej księgarenki. Sama nie wiedziała czego szuka. Nigdy nie wiadomo co się gdzie w Paryżu znajduje.

Z kąta wyłania się kot, a za nim jego właściciel. Sadza Marję na wygodnym fotelu, w którym się właściwie cała chowa.

Podaje jakąś tekę — „Polonica”. Są tam oczywiście rysunki rosyjskie, węgierskie, szwedzkie.

Siada naprzeciw, na podobnym fotelu i zaczyna się rozmowa.

O sztuce i literaturze.

Rozmowa coraz naturalniejsza i lżejsza — bo coraz się do niej ma większą ochotę i słowa same płyną.

„Patron” przynosi stołeczek pod nogi, a kot ociera się o jedwab jej sukni.

Dalej rozmawiają, wesoło, miło, dowcipnie i inteligentnie.

— Ale pani tu znów zajdzie?

— A tak, może pan mieć będzie co nowego?

— Ale i na pogawędkę?

— I na pogawędkę — odpowiada śmiejąc się i gładząc kota pod włos, że aż lecą iskry.

Szósta i pół.

Deszczyk mży. Paryski deszczyk. Dokuczliwy — przenikliwy.

Czeka z numerkiem w rękę na tramwaj. Każdy „complet”.

Co właściwie robić? Wrócić do domu — położyć się na otomanie i gryźć cukierki, czytając jakąś zajmującą książkę? Dziś jakoś się nie chce.

Wzorem prababek wziąć do ręki jakąś piękną robótkę, w której myśl tak dobrze się gubi? Nie trzeba myśli gubić!

Iść do teatru i patrzeć na to co inni przeżywają — nudne.

Do znajomych? Mówić to co się już wiele razy mówiło i słuchać tego co się już wiele razy słyszało!... Br...

Tramwaje wciąż przepełnione.

Chodzi tam i z powrotem.

Machinalnie staje przed kartą wywieszoną na jakiejś eleganckiej restauracji. Machinalnie czyta. I ziewa. Szeroko, bezceremonjalnie. Z nudów, nie chęci do spania.

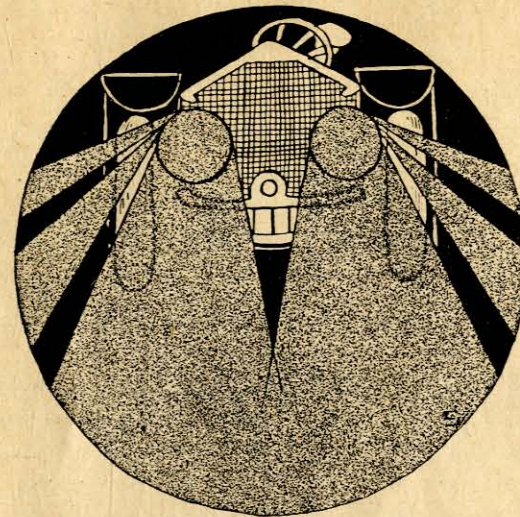
Ktoś się zatrzymuje przed nią. — Śmieje się.

Jakiś starszy pan, z czerwoną wstążeczką w bu-tonierce, ładnie wygolony.

— A może byśmy razem poszli na obiad? Tobo panią nieco rozerwało?

Jak ten wieczór deszczowy spędziła: Czytała, robiła robótkę, była w tearze, słuchała tysiąc razy słyszane rzeczy i mówiła tysiąc razy mówione rzeczy — czy też słuchała nowych — i sama nowe mówiła?

Nikt się nie dowie.



Flirt z autami.

Z autem flirtować można oczkiem i uszkiem.

Uszkiem, gdy się jest u siebie, leży na otomannie. Słucha się aut, jak się słucha morza, ciągłego nieustannego, nieodwołalnego przypływu fali. Ulica w słuchaniu jest zgoła różna niż w widzeniu. Wszystkie jej głosy stają się wtedy inne — to zlewają się w jedną całość, w jakąś hałaśliwą orkiestrę, to znów różniczkują się, rozkładają na solowe partje.

Ciekawe są wołania i nawoływania aut. Można — dobrze się wsłuchawszy — podsłuchać wszystkich głosów przyrody. Auto ryczy, wyje, szczeka, mruczy, a nawet miauczy. I bieg ich jest ciekawy! Jedno sunie lekko, tanecznym nieomal krokiem, inne ślizga posuwicie, tamto rzuca i miota na wsze strony, gdy jakiś jego sąsiad ledwo dotyka ziemi.

A wszystkie razem jakie — nawet za przegrodą muru — straszne! Przez to, że się utartej kolei nie trzymają, tylko każdy kroczy po asfalcie, jak mu się podoba.

Pociąg, pędzący zgóry określoną drogą, jest dziecinną zabawką wobec tego potworka. (Ale zawsze co piękne — jest zarazem straszne!).

Co ją w autach szczególnie zachwycało, to ich lśniące pudła i ich lśniące szyby — woskowe posadzki i przejrzyste zwierciadła odbijające w sobie nowoczesne życie.

Tylko pójść na Wielkie Bulwary o szarej godzinie, gdy dzień usypia, a budzi się noc paryska. Na lśniących pudłach, jak na woskowanej posadzce, światła pierwszych reklam tańczyć poczynają. Ręka wprawno wodzireja szybko, jedna po drugiej, kreśli kotyljonowe figury, koła, kręgi, łuki. A czasem, niewidzialną garścią rzucone złote punkciki, rozsypią się niby wirujące pary, każda w przeciwną stronę uciekająca.

Z autem paryskim puścić się w zawody...

Umknąć szczęśliwie z pod jednego, by nieomal wpaść pod drugie...

Słyszeć też nad uchem zawiedzione pogwizdywanie maszyny...

Grać na swem szczęściu niby na giełdzie; z pewnością, że się wygra. Znaleźć się niespodzianie na skrzyżowaniu ulic, wśród aut pędzących w różne strony. Kręć się, pociągają niby wir wodny. A w głowie szum, nie obawy, ale upojenia.

I śmiech triumfu w objęciach policjanta!

Policjant, władca, pan życia i ruchu.

Niczego się nie lęka, czarodziej co dzierży w swej dłoni magiczną laseczkę. Podnosi w górę—

wszystko staje. Dzikie zwierzęta na uwiezi: proszą, protestują, krzyczą, buntują się, grożą. Ale słuchać muszą.

A tymczasem publiczność tańczy zapomniane dziś figury kontredansa: En avant, reculez, passez.

Już są na drugiej stronie ulicy. Każdy ze swoją damą. Pałeczka się pochyla — pęta zerwane, cugle popuszczone. Z poszumem, przeciągłem wyciem, z głuchym pomrukiem zadowolenia jadą znów, toczą się auta.

Lubiła wieczorem stać na refuge, kamiennej wysepce. Taka mała, a taka bezpieczna! Patrzeć na mknące auta! Śmiać się z ich pośpiechu, być zmęczoną ich zmęczeniem. A czasem smucić się, że na czas nie dojadą; ktoś kogoś zabije, ktoś kogoś kochać przestanie...

Dwie sprężyste, ruchliwe linje, w przeciwną stronę biegnące. A gdy oko uchwyci każdą część tej linji, to niby wielkie, nanizane na niewidzialny sznur—chrabąszcze: brunatne, zielone, czerwone.

Czasem zabłąka się wśród nich drobny motylek; szybka cytrynówka skrzydełkami załopoce i mknie dalej.

A w aucie, wybitem niebieskim jedwabiem, niby karoca dawnej piękniś, leci pęk strusich piór, pęk loczków, błysk brylantów i nieprawdziwa prawdziwość pereł.

Auto prowadzi autentyczny księżę rosyjski...



Przyszła wiosna. Zrazu nieśmiała i nic nie obiecująca. A potem śliczna. Nowem życiem zakwitły wiecznie zielone krzewy. Miasto całe zazieleśniło się drzewami, których przedtem zdawało się być bardzo mało. A jest ich nieprawdopodobna ilość. Na placzkach paulownie o pokręconych jak mandragory ramionach, rozpięły swe przejrzyste liliowo-srebrne parasole.

Jakoś się wszystko zrobiło inaczej. Wiosna zdradza tajemnice, o których się cały rok nie mówi. Zapewne aby się popisać swą możliwością czynienia cudów. Bo wszystko co wiosna przynosi jest cudem.

Największą rozkoszą dla Marji było teraz chodzić po ulicach. Nic, tylko chodzić. Prostu wziąć kapelusz i parasol, koniecznie parasol, bo deszcz potrafi padać i z jasnego nieba — najmniej własnych myśli, ale za to oczy ciekawe, wszystko widzące i posłuszne temu co zobaczą.

Pozwolić krokom kierować się gdzie chcą.
Balladować — być tu a potem bez wyraźnego powodu gdzieindziej.

Najpierw do Luksemburga — Luksemburg cud ogrodów. Nawet powaga Senatu nic mu z jego czarów odebrać nie zdoła.

Szpalery krzewów pod jedną linię podciągnięte, pobłażliwość starych drzew, które swego cienia już niejednemu marzycielowi użyczały, partery — niewymyślne, głupie desenie, geometryczne figury, czy esy floresy, ale wielkie, jasne plamy. Żółte kwiaty w fioletowym obramieniu młodzieńskich bratków, rozpalone ciemną purpurą, złotem na krańcach rozjaśnione, pola laków, jakieś białe, dziecinne dzwonki rozsypane na wielkich gazonach.

Gdzieś w rogu, fontanna Marji Medycejskiej, zakątek istic włoski w tym francuskim parku.

Szepczące tajemnice miłosne — co wiosna je słuchając — najlepiej poinformowane — srebrne wodotryski.

I posągi, posągi... Dziwna mieszanina, nieprawdopodobne zbiegowisko. Siedziba królowych bez królów, poetów, artystów zgodnie sąsiadujących i mieszkańców gajów greckich. Oni najlepiej się tu czują, najsilniej z budzącą wiosną związani. Zmartwychwstają wraz z zielenią — zamarli a pełni sił. Zapaśnicy w ruchu, rzucają w przestrzeń fioletowego przedwiosennego powietrza sprężyste nogi, silne ręce — rozkołysane na długiej szyi zgrabne głowy. A gdy deszcz je oplucze, lśnią, jak gdyby świeżo namaszczeni oliwą.

Faun, tańcząc, gra na flecie swą odwieczną piosenkę. Satyr porwał nimfę i biegnie z nią w cie-

mną głab, obojętny na ludzkie spojrzenia, radosny nadzieją rozkoszy.

Gdy maj był już w całej pełni, miała w Luksemburgu miejsce, które nazwała rosarium. Lubiła patrzeć, jak opadają róże, jak sypią się barwne listki na wiatr, na trawę, w powietrze. Róż była ilość wielka i wielka rozmaitość. Róże zupełnie inne, niż u nas. Jedne pięły się wysoko, na słup, a potem, jakby zawiedzione jakąś nadzieją, opadały bujną kaskadą, inne okręcały się szczerlnie, gęsto, koło muru, tworząc nieprzebyty żywopłot, a inne jeszcze swobodnie, wolno, jak brzoza swe gałęzie, rozpuszczały na wiatr długie, przetykane kwiatami łodygi.

Róże stoją czasem na krzaku pojedynczo rozsypane, a czasem zbiegają się w gromadkę, niby dziewczęta, gdy bawiąc się tworzą zwarte koło. Albo dwie, trzy tulą się do siebie, jak siostry pozornem podobieństwem podnosząc czar swej urody. Bo każda z nich inną ma główkę i inaczej ją trzyma. Jedna jest dumna, nieco sztywna, ta kokieteryjnie na bok przechylona, tamta naiwnie, w dół spuściła żółte punkciki swych oczków.

Zapachy łączą się, mieszają. Nagle, gdy wiatr jednym krzewem silniej zakołysze, a inne zostawi w spokoju, i z tej jednej róży, niby wiecznie dymiącej kadzielnicy powieje woń, co przez chwilę cały różaniec sobą zapełni.



Z niewiadomych powodów, nieznanemi drogami przenieść się na inny odcinek Paryża: do dzielnicy Marais, w 17-ym i 18-ym wieku pod osłoną Bastylji modnej ulicy św. Antoniego. W barze, gdzie za 80 ctm. wypisanych na spodeczku dają wcale niezłą kawę myśleć o tem, że tu przeciągał wspaniały pochod magnatów polskich, jadących po Marję Ludwikę, że ten tłum, który teraz cieszy się pełnią praw obywatelskich, nazywano wówczas canaille, że na tym starym hotelu z cudnemi kominażami, które zna tylko architektura francuska, jest napis: Egalité.

Cała ta dzielnica, to urągowisko i zaprzeczenie przeszłości — zwycięstwo życia nad tradycją. Na placu des Vosges, w kwadrat ujętym, pod ar-

kadami pałaców, gdzie odbywały się zamachy, zabawy i schadzki, tłoczy się rój kupców, przemysłowców i rzemieślników. W hotelu Sully, jednym z najpiękniejszych renesansowych gmachów, jest fabryka lampek elektrycznych, które też zwa się Sully.

Marja z dreszczem niepokoju biegła do domu Cagliostro; została tylko galerja, prowadząca z jednej tajemniczej komnaty do drugiej, jeszcze bardziej tajemniczej. A przecież tu zatrzymywała się różowym jedwabiem obciągnięta złota lektyka pięknej pani Dubarry, pragnącej za wszelką cenę dostać wody młodości, przecież po tych schodach pod strażą swych hajduków wchodził duc de Rohan w nadziei, że tym razem już niezawodnie znajdzie przepis na robienie złota,



A kiedyindziej szła na Bulwary — szukać wśród etranżerów — paryżanki. Kroczy drobnym kroczeniem, owinięta w płaszczyk mocno opinający dolną część talji. Symbol ponęt niewieścich zmieniny jest... Elegancko nosi czarne jedwabie, oszyte małpim futrem i wabi oczy niewinną napozór młodością. Nóżki, obciągnięte w cieliste pończoszki, ukazuje poza kolana... Buzia namotana okrą, gdzieś nieomal pod oczyma — coś tajemniczego i coś zamarłego.

Marja lubiła zaszyć się w cichy kąt dancingu i patrzeć co się wokoło niej dzieje. Jak ludzie do siebie mówią. A czasem bywa najwymowniejsze, to czego się nie powie. Obok, jakaś piękna pani roześmiała się do eleganckiego cudzoziemca — powabną obietnicą. Na zapyłonym marmurze stolika końcem swych różowych paznokietków pisze wyraźnie cyfrę stu franków.

W Paryżu warto być albo paryżanką, albo mężczyzną.

Szalenie lubiła iść wieczorami przez któryś z mniej uczęszczanych mostów. I nie tylko dlatego, że miała panoramę najpiękniejszą w świecie. Ale poprostu z tej bezbrzeżnej radości, jaką daje taka wielka, wielka przestrzeń. Na jednym krańcu horyzontu — zachód, — na drugim na Notre Dame się opierając, odbłask różano-złoty, niby blady jego dagierotyp.

Dziwna rozkosz powietrza. W każdym punkcie zetknięcia czuła tę rozkosz — rozkosz każdego kawałka skóry, która ostrą linią odcina się od powietrza, rozkosz wszystkich zmysłów, które cieszą się niem, czując swą odrębność.

A czasem było właśnie przeciwnie. I przez to dobrze. Roztapiała się w otaczającym świecie, nie było jej, była częstką tego powietrza, łączyła się z niem ściśle, wsiąkała głęboko, nie było żadnej granicy. Niema jej i niema jej ciała. Jest czemś także ruchliwym, płynnym, lotnym, bezświadomym jak to powietrze.

Rankiem biegła do lasu bulońskiego. Powietrze brało ją, obejmowało, tuliło. Jak lekko, jak cudnie oddychać! Jest tyle powietrza, taka masa! Tak ciągnie, woła, obejmuje...

Rzucić się w powietrze, oddać się powietrzu, powierzyć się, jak się powierza miłości i morzu...

Zapomniała o sobie i swej przeszłości.

Przeszłość jest tak piękna, że nie można wyobrazić sobie by kiedyś istniała, albo tak bolesna, że nie chce się wyobrazić, że istniała.

Tak było z Marją.



Chodzić nad Sekwaną... Sekwana bywa różna. Ciemno-ruda, bardzo ciemna, gęsta, niby stojąca, czasem, skręty olbrzymiego węża, jak ją widział Verlaine, a czasem, niespodzianie błękitna i śliczna, jak wtedy ją Ronsard opiewał. Albo skrząca się wesoło, przejrzysta, chwytająca wszystko w lot, jak klisza fotograficzna i na swej srebrnej powierzchni, srebrnym, polerowanym zwierciadle, odbijająca radość zetknięcia się z niebem...

Niekiedy, choć leży cicho, gdy ja bateau-mouche poruszy, rozsypie się w drobne kropelki. A nagle słońce na nie padnie i woda roztoczy swe barwy, niby paw, pyszny swój ogon.

Szła kiedyś do Biblioteki Polskiej, na ile Saint-Louis.

Kochała tę wyspę o drzemiących falach. Wszystko drzemie na tej wyspie poetów i filozofów. Bawiła się myślą, że Lauzun przeskakiwał tu balkony, a piękna pani Sabatier, w salonie swym pozwalała uwielbiać się artystom.

Dziwnych się ludzi spotyka, albo bardzo młodych, albo bardzo starych. Tak ładnie! Dziadek z wnuczką siedzą w głębi starego w bluszcz owiniętego podwórza. A jak tu musiało być przed pięćdziesięciu laty, gdy koń, jak dziś w Wenecji, był jeszcze rzadkością, gdy ciszy nie shałbił żaden turkot autobusa. Królestwo samo w sobie...

Przeglądała pisma. W „Kurjerze Warszawskim” przeczytała, że na zjazd inżynierów do Paryża przyjeżdża jako delegat...

Z szarej, gazeciarskiej bibuły szło niby radosne wołanie. Z poza drukowanych liter — jego litery, żywe, ukochane, dręczycielskie.

Uśmiechnęła się. Życie lubi naśladować sytuacje powieściowe.

Złożyła gazetę do teczki, zapisała swe nazwisko w księdze, żeby nie zrobić przykrości bibliotekarzowi, który jest taki miły i uprzejmy.

Wyszła z biblioteki — bląkała się po cichej wyspie.

Wyspa o drzemiących falach...

Wiedziała, że może się coś zacząć, co się skończy najniespodzianie w świecie. Ale równie dobrze może się nic nie zacząć i nic w tem nie będzie złego.

Nawet lepiej.

